GRUDZIEŃ 1930

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM VI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 649-04

TREŚĆ:

O WŁASNYCH SIŁACH.

Ustęp z przemówienia Janusza ks. Radziwiłła, wygłoszonego na ogólnem zebraniu członków Warszawskiego Oddziału Str. Prawicy Narodowej dnia 22 października 1930 roku.

O ile można dzisiaj przewidzieć, nadchodzące wybory przyniosą ze sobą znaczne wzmożenie liczebne konserwatyzmu w Izbach ustawodawczych. Da nam to oczywiście możność większego, niż dotąd, wpływu na dalszy rozwój stosunków i prac w sejmie, a zwłaszcza na sprawę reformy konstytucji. W tej właśnie kwestji liczyć się musimy z tem, że nastąpią zmagania nietylko z opozycją, ale mogą powstać pewne różnice poglądów także i wewnątrz samego Bloku Współpracy z Rządem, złożonego przecież z szeregu grup o dość znacznych różnicach w zapatrywaniach społecznych, które nie we wszystkich wypadkach dadzą się łatwo uzgodnić. I dlatego liczebność i energja elementów zachowawczych i zachowawczo-gospodarczych w łonie Bloku będzie musiała, a zapewnie i mogła, odpowiednio zaważyć na konstrukcji reformy ustroju w kierunku zasad i postulatów konserwatywnych.

Ale, obserwując wzrost wpływów i liczby przedstawicieli obozu zachowawczego na oficjalnej arenie politycznej w ciągu lat ostatnich, musimy stwierdzić pewną dysproporcję, jaka zachodzi między tą zewnętrzną siłą reprezentacyjną obozu zachowawczego a własnemi jego podstawami, na których obóz ten w kraju się opiera — dysproporcję między naszą rolą zewnętrzną a liczebną słabością i stosunkowo zbyt małą jeszcze aktywnością szeregów konserwatywnych wogóle. Naszej „szturmowej kolumnie“ na froncie sejmowym brak dotąd odpowiednich rezerw i samodzielnego oparcia. Zbyt szybkie robimy na oko postę-

py w życiu politycznem w porównaniu z pozaparlamentarnym rozwojem grup zachowawczych.

A dysproporcja ta spowodowana jest z jednej strony wyjątkowo dla zachowawców pomyślną konjunkturą polityczną w państwie, która ułatwia im — i wogóle umożliwia — liczniejszy wstęp do parlamentu i pewien współudział w pracy nad odrodzeniem państwa, z drugiej zaś zbyt może jednostronnem zainteresowaniem się zachowawców, a w szczególności Stronnictwa Prawicy Narodowej, wielką rozgrywką na terenie parlamentarnym, obok niedostatecznego jeszcze wysiłku w zakresie głębszej pracy politycznej, która jest zawsze niezbędną dla wzmożenia własnych sił stronnictwa czy obozu i stworzenia mu odpowiedniego oparcia w nieco szerszych sferach społeczeństwa, co umożliwia w danym razie przetrwanie i przezwyciężenie ewentualnych mniej pomyślnych konjunktur.

O tej drugiej stronie sprawy — o pracy politycznej i penetracyjnej w społeczeństwie — zapominać nam nie wolno, nawet wśród największych chwilowych sukcesów w oficjalnej polityce. Konserwatysta powinien mieć przed oczyma zawsze możliwość zmiany korzystnej chwilowo konjunktury. Nasz sukces dotychczasowy, cały ten wzrost naszych wpływów i znaczenia, z jakiego korzystamy od kilku lat ostatnich, nie naszą przecież uzyskaliśmy mocą. Byłoby to nawet niemożliwem w ustroju powszechnego, sześcioprzymiotnikowego głosowania. Życzmy sobie, aby ta konjunktura jak najdłużej potrwała, ale byłoby lekkomyślnem spuszczać się na to, że potrwa wiecznie. W historji wszystko jest płynnem. Musimy więc, póki czas i korzystna okazja po temu, dołożyć wszelkich starań, aby konserwatyzm polski i na własnych także oprzeć podstawach, penetrując z jego zasadami w szersze sfery i pozyskując je w możliwym stopniu dla naszego światopoglądu.

Konserwatyzm we wskrzeszonej Polsce, przez szereg pierwszych lat usunięty zupełnie z widowni, odrodził się

i rozwija do coraz większej — jak się zdaje — roli. Ale nie wstydźmy się wyznać otwarcie, że pod względem siły liczebnej i organizacji jest na razie jeszcze podobny do dziecka, które pierwsze stawia kroki, wiedzione przez kogoś za rękę. Przyjdzie jednak prędzej czy później z pewnością chwila, kiedy będzie musiało o własnych kroczyć siłach. A wówczas konserwatyzm — jeżeli nie wzmocni się w międzyczasie pod każdym względem — zniknie odrazu z oficjalnej areny politycznej. Ujawni się wtedy w całej pełni owa dysproporcja między pozorem siły jego reprezentacji zewnętrznej a istotną słabością podstaw organizacyjnych, na których się opiera.

W tem widzę właśnie poważne niebezpieczeństwo, którego perspektywę i grożącą rzeczywistość niejeden z nas pragnie odsunąć sobie z przed oczu, a przynajmniej nie wyciąga z niej odpowiednich praktycznych konsekwencji, zaniedbując energiczniejszą pracę nad programowem, propagandowem i organizacyjnem wzmocnieniem naszego Stronnictwa i konserwatyzmu wogóle. I dlatego uważam sobie za obowiązek zaapelować do wszystkich członków, aby wytężyli swe usiłowania w kierunku osiągnięcia należytej równowagi między rolą i znaczeniem konserwatyzmu w sejmie a rzeczywistemi zdobyczami jego moralnej i fizycznej ekspansji w terenie, propagowanej słowem, piórem i czynem. Uważam za wskazane podnieść ten głos przestrogi właśnie w chwili już osiągniętych i spodziewanych sukcesów polityki zachowawczej w ramach Bloku Współpracy z Rządem. Jeżeli polityka ta ma liczyć na trwałe rezultaty w każdych warunkach, nietylko w wyjątkowo przyjaznej konjunkturze, to musi mieć silne oparcie w ożywionej, wszechstronnej działalności całego obozu zachowawczego, skierowanej zarówno na pozyskanie szerszych sfer zawodowych, myślących w gruncie rzeczy kategorjami zachowawczemi, jak i na odpowiednie otrzeźwianie i nastawianie

opinji publicznej, zdezorjentowanej długoletnim wpływem demagogji i radykalizmu.

Niedość brać czynny udział w życiu politycznem — trzeba także i pracować politycznie. A obie te rzeczy nie są bynajmniej identyczne. Zapewne, aktywny udział w polityce pewnej grupy osób, choćby stosunkowo niewielkiej, może w sprzyjających warunkach przynieść państwu i zasadom, które dana grupa reprezentuje, pewne korzyści. Ale trwałą siłę i podstawę w społeczeństwie może zdobyć dla danej ideologji tylko systematyczna, wytrwała, nieraz żmudna praca polityczna jej wyznawców. Ona też dopiero może zrealizować stopniowo, przynajmniej w pewnej mierze, zasadniczy, oczywisty postulat obozu zachowawczego, a w nim i naszego Stronnictwa: zdobycia wybitnej roli w państwie o własnych siłach!

Redakcja „Naszej Przyszłości" wita powyższe słowa leadera obozu zachowawczego w Polsce z żywem zadowoleniem i z największem uznaniem. Znajdą się może zachowawcy, którzy krytykować będą aż tak otwarte i szczere wypowiedzenie się w sprawie istotnej sytuacji i obowiązków polskiego konserwatyzmu wogóle, a Stronnictwa Prawicy Narodowej w szczególności. Jeśli taka krytyka się odezwie, to oświadczamy zgóry, że wprost przeciwnego jesteśmy zdania.

Najpierw bowiem, cały kraj dokładnie zdaje sobie sprawę zarówno z chwilowej, jak i możliwej, potencjalnej siły konserwatyzmu. Niema więc czego ukrywać, upiększać czy tuszować. Nie chcemy żyć bluffem, chcemy jasno zdawać sobie sprawę z naszych sił, możliwości, zadań i obowiązków. Nie jesteśmy przecież partją, ale zwolennikami pewnego światopoglądu, który mierzyć może swe siły nie wielkością chwilowych sukcesów wyborczych, ale indywidualną tężyzną i aktywnością jednostek, pod sztandar nasz

zapisanych, oraz głębszym wpływem, wywieranym na kształtowanie się opinji publicznej i dążeń całego społeczeństwa.

A powtóre, wielką siłę przekonań i wiary w moc idei konserwatywnej musi mieć polityk, który nie waha się wypowiedzieć publicznie tak jasnego, lapidarnego, odważnego poglądu na stan i perspektywy własnego stronnictwa. Nie zdobyłby się na to z pewnością żaden z przywódców partji sejmokratycznych, żyjących tylko z wyborów i dla wyborów, a mających swój program każdej chwili na sprzedaż dla pierwszej lepszej demagogji, która może im przysporzyć parę mandatów więcej.

Dlatego żadne może z dotychczasowych pociągnięć obozu zachowawczego nie uwydatniło tak wyraźnie zasadniczej różnicy między szczerością i — niech nam wolno będzie powiedzieć: wiecznością — idei zachowawczej a zmiennem, jak wiatr, partyjnictwem wszelakiego rodzaju, jak właśnie wyżej przytoczone słowa ks. Radziwiłła. Nie imponują nam wcale chwilowo zdobyte mandaty zachowawcze i zachowawczo-gospodarcze, ale sięgamy w przyszłość. Nie w perypetjach i rozgrywkach parlamentarnych, choćby chwilowo dla nas najpomyślniejszych, widzimy nasze głębsze zadanie, ale w owej „pracy politycznej", penetrującej w możliwie szerokie sfery społeczeństwa siłą naszej własnej aktywności i energji, o czem tak trafnie mówi ks. Radziwiłł.

Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy mieli lekceważyć bezpośrednią pracę parlamentarną. Przeciwnie, o ile tylko konjunktury dozwolą, służyć jesteśmy gotowi państwu wszędzie i na każdym posterunku, nawet w tym wypadku, gdyby nam brakło wiary w skuteczność, czy produktywność tego posterunku. Ale zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że dopóki w ustroju państwa mechaniczna liczba ma pierwszeństwo przed wszelkimi walorami kwalifikacyjnymi, dopóty oficjalna rola konserwatyzmu, reprezentującego par excellence właśnie czynnik kwalifikacyjny, może

być zawsze tylko przypadkową — zależną od wyjątkowych okoliczności. I dlatego naszem zadaniem jest takie wzmocnienie własnych sił konserwatyzmu i wogóle ideologji zachowawczej w społeczeństwie, aby konserwatyzm od fluktuacji konjunktur możliwie uniezależnić przez stopniowe doprowadzenie społeczeństwa do uznania oczywistej zasady, że o losach państwa nie ilość, ale jakość głosów stanowić powinna.

Co się zaś tyczy specjalnie roli grupy politycznej Prawicy Narodowej, reprezentującej konserwatyzm naukowy, wszechstanowy, o państwowym punkcie widzenia we wszelkich sprawach i zagadnieniach, słowem: konserwatyzm bezprzymiotnikowy — to twierdzimy stanowczo, że dwie główne zasady wytyczne powinny kierować każdem jej zamierzeniem i pociągnięciem:

1) że w danych warunkach stosunkowo mniejsza część jej zadania — biorąc ilościowo — leży na arenie polityki oficjalnej, chociaż i tu aktywność Stronnictwa powinna zaznaczyć się w sposób możliwie wybitny, a daleko większa na arenie „pracy politycznej i penetracyjnej“ poza parlamentem,

2) że cały walor takiego Stronnictwa (a raczej światopoglądu) leży przedewszystkiem w niem samem, w jego idei i w energicznej, zdecydowanej propagandzie tej idei, nie zaś w oddziaływaniu jakichkolwiek, nawet pomyślnych, konjunktur zewnętrznych oraz dostosowywaniu się do nich wzorem partji o charakterze masowym.

Te dwie kardynalne zasady powinny przyświecać stale i niewzruszenie całej naszej akcji publicznej i publicystycznej. Wszelkie odstępstwo od nich, jakąbądź argumentowane potrzebą i djalektyką, obniża odrazu walor idei konserwatywnej do poziomu zwykłej partji, żyjącej konjunkturą i ginącej wraz z daną konjunkturą — i to partji liczebnie najszczuplejszej, a więc dynamicznie najsłabszej ze wszystkich.

Niechże nam za odstraszający przykład służy zawsze krótki błysk i upadek umiarkowanie demokratycznego „Klubu Skulskiego“ w pierwszym sejmie konstytucyjnym. Klub ten uzyskał własną siłą (czego przecież konserwatyści nie byliby w stanie dziś dokonać) około sześćdziesięciu mandatów, a przywódca tej partji, p. Skulski, został niebawem premierem. A jednak, mimo tak świetnych początków, Klub ten zniknął po pierwszym sejmie z widowni politycznej bez śladu, tak dalece, że nawet pamięć o jego działalności nie pozostała. Dlaczego? Bo był tylko pewną kombinacją partyjno-polityczną, opartą na konjunkturze i chociaż wszelkie inne miał warunki, brakło mu jednak jednego, najważniejszego, który jedynie zapewnia ciągłość i trwałość grupie politycznej: idei.

Dlatego więc świat konserwatywny wogóle, a Stronnictwo Prawicy Narodowej w szczególności, nie powinny tracić nigdy z oczu tej wielkiej prawdy, że zbyt jednostronnie traktowany „aktualizm polityczny“ jest rzeczą wielce efemeryczną, zwłaszcza dla stosunkowo nielicznej elity społecznej, a najrealniejszym czynnikiem jest właśnie idea, oczywiście w takich rękach, które jej wskazania na praktyczne walory potrafią umiejętnie przewalutować. Wiara w swą ideę i wiara w wyższość swego sztandaru ponad inne koncepcje polityczno-społeczne stanowić też może jedyną i zawsze niezawodną ostoję pracy zachowawczej w każdych warunkach.

Redakcja.

CZY NIE ZŁUDZENIE?

O ile pamiętam — może się mylę — nie było dotąd wypadku opublikowania autentycznej dyskusji w sprawach zasadniczych między szczerym, przekonanym wyznawcą obozu, który przybrał dzisiaj krótką nazwę „narodowego" a podobnie szczerym i przekonanym zwolennikiem krakowskiej szkoły konserwatywnej, noszącej od dwudziestu kilku lat nazwę „Prawicy Narodowej".

Nie było takiego wypadku z oczywistego powodu, że trudno wyobrazić sobie dwa bieguny większego przeciwieństwa od różnicy mentalności szczerych zwolenników obu tych politycznych na Polskę poglądów. Łatwiej wszelkie inne w kraju pogodzić przeciwieństwa, niż „endeka" ze „stańczykiem". Każdy z nich może rozmawiać, a nawet chwilowo porozumieć się dla pewnych celów z każdą inną partją czy światopoglądem politycznym w Polsce, ale nigdy ze sobą. Przeciwieństwa między nimi leżą nietylko w programie, co stosunkowo mniejszą byłoby jeszcze przeszkodą, ile przedewszystkiem w głębokiej różnicy mentalności. Poprostu endek ma inaczej zorganizowane zwoje mózgowe od stańczyka. Dlatego tę samą rzecz widzi jeden na czarno, drugi na biało — i na to niemasz sposobu! A różnice te, głębokie, psychiczne, pryncypialne, odnoszą się do wszystkiego, co nas otacza, a więc nietylko do zapatrywań na kwestje polityczne i społeczne, ale i na wszystkie niemal zagadnienia codziennego życia.

Stąd też wszelkie „podobieństwa", konstatowane przez różnych publicystów między programem stuprocentowego konserwatyzmu, jaki reprezentuje (z różnymi indywidualnymi wyjątkami) Stronnictwo Prawicy Narodowej, a programem stuprocentowej narodowej demokracji, zwłaszcza w tak często podnoszonym zakresie gospodar-

czym, są tylko dowodem kompletnej — czy udanej — nieznajomości przedmiotu ze strony tych, którzy o tem mówią lub piszą. Są to tylko niezgrabne i beznadziejne usiłowania zatuszowywania różnic dwuch najskrajniejszych przeciwieństw na podstawie wyrwanych tu i tam przypadkowo identycznych wyrażeń. Jeżeli np. w artykule gospodarczym narodowego demokraty użyty jest gdzieś wyraz „albowiem" i tenże sam wyraz znajdzie się przypadkiem w artykule gospodarczym konserwatysty, to już naiwni lub sprytni medjatorzy wyciągają z tego wniosek o „podobieństwie" przekonań gospodarczych i społecznych obu obozów.

A jednak zieje między nimi w rzeczywistości przepaść, która ujawnia się momentalnie, gdy ich zwolennicy przy jednym przypadkiem zasiądą stole.

Dlatego też niemałą sensację dla czytelnika „Naszej Przyszłości" stanowić powinien fakt, że otrzymałem, jako redaktor tego pisma, niedawno artykuł pod tytułem, podanym w nagłówku, napisany przez szczerego zwolennika obozu narodowego, z prośbą o umieszczenie. A jeszcze większą sensację może stanowić decyzja redakcji „Naszej Przyszłości" zamieszczenia tego „endeckiego" artykułu na łamach najprawomyślniejszego konserwatywnego miesięcznika — w formie dyskusji między mną a autorem.

Autor, p. Jerzy Ryx, właściciel majątku Sielec w woj. warszawskiem, wybitny hodowca, określa się w załączonym do swego artykułu liście jako szczery „narodowiec", zwolennik hasła „Bóg i ojczyzna!" i twierdzi zarazem, że narodowa demokracja już nie istnieje, skoro odrzuciła już z firmy swej partyjnej wyraz „demokracja", przemieniając się w obóz „narodowy", bez żadnych dodatków. Tembardziej więc może teraz, zdaniem autora, znaczna część ziemiaństwa polskiego za takim obozem się opowiedzieć, za wyjątkiem „sanacyjnej grupy p. Steckiego".

To właśnie przekonanie — nie wątpię, że szczerze wypowiedziane — stanowi dla mnie najciekawszy moment

w liście i w artykule ziemianina, stojącego bądź co bądź po stronie opozycji endeckiej. Ilustruje ono bowiem psychikę dużego jeszcze odłamu naszego ziemiaństwa, które wypiera się w gruncie rzeczy narodowej demokracji jako demokracji, usprawiedliwiając swój akces do niej właśnie rzekomem opuszczeniem przez nią tego antyziemiańskiego dodatku, a natomiast trzyma się jeszcze jej szeregów li tylko przez nieufność do osoby „socjalisty Piłsudskiego“. I ten ciekawy moment skłonił nas właśnie do zamieszczenia w naszem piśmie poglądów i twierdzeń p. Ryxa, jako wyraziciela przekonań „narodowo myślącego ziemiaństwa“, z interpolacją mych odpowiedzi na poszczególne twierdzenia Szanownego Autora.

Jan Bobrzyński *).

R. Otrzymałem broszurę z odbitką artykułu Pańskiego p. t. „Równanie ku górze“, która pobudza mnie do zabrania głosu. Przedewszystkiem jednak, dla uniknięcia możliwych nieporozumień, zastrzegam się zgóry, że nie należę oficjalnie do żadnego stronnictwa politycznego, przemawiać zatem mogę tylko w imieniu własnem i tych bardzo licznych braci-ziemian, którzy podobnie, jak ja, zapatrują się na dzisiejsze stosunki.

Broszura „Równanie ku górze“, rozesłana niedawno jako odbitka z Pańskiego miesięcznika „Nasza Przyszłość“, wielu ziemianom, była z pewnością próbą zbliżenia się, jeżeli nie wprost propozycją podania ręki ze strony stronnictwa zachowawczego tym wszystkim ziemianom, którzy dotychczas bardzo krytycznie zapatrywali się i zapatrują

---

*) Dyskutantów oznaczam początkowemi literami nazwisk. Dyskusja wypada pod względem stylistycznym nieco sztywnie, gdyż o ile formę zewnętrzną moich odpowiedzi mogłem swobodnie dostosowywać do twierdzeń mego interlokutora, o tyle — chcąc dosłownie podać jego artykuł — musiałem poszczególne jego ustępy czy zdania przytoczyć kolejno bez zmiany. Rozmowa nasza robi więc przez to nieraz wrażenie, jakgdyby p. Ryx prowadził monolog, przerywany tylko mojemi uwagami.

na niebezpieczną orjentację polskich zachowawców. Ten rozłam w dużej części społeczeństwa polskiego, stojącej właściwie na tej samej platformie, a jednak dzielącej się tak wybitnie, jest w dzisiejszych czasach wprost fatalny, jeżeli nawet nie tragiczny, gdyż kto wie, czy nie najważniejsze sprawy rozstrzygają się dziś w historji Polski nowoczesnej.

Rozłamu tego jednak nie biorą na swe sumienie ci wszyscy, którzy, przyjmując sobie za godło i hasło „Bóg i ojczyzna!“, nie znoszą pod tym względem żadnego kompromisu. Tymczasem, jak to widać z broszurki „Równanie ku górze“, stronnictwo zachowawcze, idące ręka w rękę z dzisiejszym rządem i jego kierownikiem, bardzo niezręcznie przystąpiło do jednania sobie tych wszystkich ziemian, którzy dziś, widząc co się dzieje, nie mogą przykładać ręki do roboty najwidoczniej niebezpiecznej.

Taką niezręcznością jest przedewszystkiem walka ze stronnictwem „narodowo-demokratycznem“, przezywanem żargonowo „endecją“, zatem ze stronnictwem obecnie już nieistniejącem. Walka jest nader łatwa, gdyż niema przeciwnika, ale łatwo zrozumieć, że wszystkie zarzuty, stawiane dawnej narodowej demokracji, trafiają wobec tego w „narodowców“. Tem ich zachowawcy oczywiście nie zjednają, zwłaszcza nazywając ich prawem skrzydłem demokracji, której lewe zamyka się komunistami. Jeżeli zatem identyfikuje się narodowców z jakimiś „endekami“, którzy rzekomo — jak i inne demokracje, mianowicie: ludowcy, socjaliści i komuniści — mieli dążyć do niwelacji społeczeństwa według najniższej miary, zatem hołdować „równaniu ku dołowi“ i zapewne wyznawać hasło bolszewickie „Dołoj gramotnyje!“, to zaraz na wstępie czyni się narodowcom ujmę, a ta nie wróży powodzenia porozumieniu.

B. Przedewszystkiem prostuję mniemanie, jakoby Redakcja „Naszej Przyszłości“ rozsyłała wspomniane przez Szanownego Pana odbitki. Rozesłały je niektóre

związki ziemian, których prezydja zażądały od nas niespodziewanie kilku tysięcy odbitek naszego artykułu dla ich własnych propagandowych celów. Nie odmówiliśmy oczywiście tak zaszczytnej dla naszego pisma propozycji, która w każdym razie przyczyniła się do jego spopularyzowania w szerokich sferach ziemiaństwa.

Natomiast mogę Pana zapewnić, że przy układaniu artykułu „Równanie ku górze“ chodziło nam tylko o sygnalizowanie i stwierdzenie pewnego — zdaniem naszem — wielce doniosłego dla państwa przejawu, nie zaś o wyciąganie ręki do kogokolwiek. Długoletnie panowanie partyjnictwa przyzwyczaiło społeczeństwo nasze do dopatrywania się w każdym geście i słowie poszczególnego obywatela, czy redakcji, czy organizacji, jakichś wpływów czy zamiarów partyjno-wyborczych. Jestto niestety słuszne w wielu wypadkach, ale nie we wszystkich. Redakcja nasza dąży oczywiście do przekonania społeczeństwa o pewnych faktach i zasadach, które głosi, ale bynajmniej nie ma zamiaru „kaptować“ głosów wyborczych. Stać nas na to, bo i bez wyborów, a raczej mimo wyborów, mówić swoje możemy i będziemy!

Z wielkiem natomiast zainteresowaniem dowiaduję się — tak jest: dowiaduję się! — że narodowa demokracja w przekonaniu Pańskiem i wielu ziemian, na których się Pan powołuje, już nie istnieje, że odrzucono przydawkę „demokracja“, a pozostali już tylko „narodowcy“. Nie wątpię bynajmniej o głębokiem w tym względzie przekonaniu ze strony Pańskiej i licznych rzesz ziemiańskich. Ale szkoda, że mi Pan tego jakimś specjalnie przekonywującym argumentem czy faktem nie udowadnia, gdyż — zdaniem mojem — rzeczywistość Pańskiej tezy niestety nie potwierdza.

Zmieniła się nazwa, ale nie zmieniła się ani o jotę istota narodowej demokracji, która ubrała się w eleganckie rękawiczki od pewnego czasu tylko dlatego, że opuszcza-

jąc swój dawny teren „ludowy“ pod naporem stronnictw bardziej radykalnych, musiała przywdziać strój wizytowy dla kaptowania sobie szlachty, wydanej ongiś przez „Związek ludowo-narodowy“ na łup i zagładę Witosowi w Lanckoronie. Narodowa demokracja zmienia ciągle nazwę, program, charakter i oblicze, lawirując bez skrupułu raz poraz między daleko posuniętym radykalizmem, mającym kaptować jej głosy ciemnych mas, a pozornym konserwatyzmem i klerykalizmem, mającym znowu kaptować jej pieniądze ziemian i sympatje duchowieństwa.

Dlatego proszę mi nie brać za złe, że wobec tych ustawicznych przemian, prawdziwie kameleonowych, w nieistnienie narodowej demokracji — nie wierzę. Wiem i widzę natomiast fakt, że operując chwilowo raczej po salonach (choć nie brak jej i gdzieindziej), fabrykuje z wielką zręcznością argumenty, przemawiające do mentalności ziemiaństwa. Pan więc, jako zamożny, spokojny ziemianin, nie dostrzega w „narodowcach“ swych demokratycznych, radykalnych, gotowych do wszystkiego przeciwników. My, konserwatyści, dostrzegamy ich doskonale i dlatego bijemy w nich „za naszą i waszą wolność“ ile sił starczy! Na podstawie aż nadto wymownego doświadczenia ostatnich kilkudziesięciu lat dziejów endeckiego kalejdoskopu programowego mam wszelką podstawę do stwierdzenia, że endecja egzystuje dziś w całej pełni, stanowiąc prawe — i to chwilowo skrajnie prawe — skrzydło frontu walki o proletaryzację społeczeństwa, na którego lewem krańcu stoją komuniści. Nie przeczę, że na tym froncie prawica nie wie nieraz, co robi lewica, nie przeczę, że nieraz wzajemnie się zwalczają, ale ostrza ich wymierzone są w ostatecznym rezultacie zgodnie przeciw „równaniu społeczeństwa ku górze“. I w walce tej wzajemnej chodzi nietyle o dobro państwa i narodu, ile przedewszystkiem o zdobycie za wszelką cenę władzy i usunięcie od niej za wszelką cenę każdego przeciwnika, nawet przy pomocy buntowania przeciw Polsce

opinji i prasy zagranicznej. A to przecież nie moja teorja, ale fakta — częste, codzienne fakta!

R. Co do samej idei „narodowo-demokratycznej“, to bodaj czy nie pierwszym jej twórcą był król Stefan Batory, wraz ze swym hetmanem, Janem Zamoyskim. Ale najjaskrawiej uwydatniła się ta ideologja w akcji Tadeusza Kościuszki, w rewolucji z r. 1831 i w powstaniu z r. 1863, do których przyłączali się najszlachetniejsi patrjoci polscy. Myśl pociągnięcia do współudziału w troskach o losy państwa także i szerokich mas ludu przetrwała dalej, po powstaniu, aż do samej wojny światowej, a nawet i parę lat później i miała na celu wielką sprawę patrjotycznego uświadamiania ludu i pociągnięcia w tym kierunku mas, podówczas jeszcze bezwładnych, bez których żadna akcja oswobodzenia się od najeźdźców nie była możliwa. W genjalnym umyśle kanclerza Zamoyskiego kiełkowała już ta myśl; pragnął on, na wzór państw obcych, utworzyć wojsko zaciężne, do którego byliby powołani także chłopi i inne szerokie warstwy ludności. Tym zamiarom oparła się większość ówczesnej szlachty, obawiając się wprowadzenia „absolutum dominium“ i dopiero ścięcie głównego wichrzyciela, Samuela Zborowskiego, uśmierzyło opozycję. Niestety, krótkie życie Stefana Batorego nie pozwoliło mu na dokończenie rozpoczętego dzieła.

B. Nie naciągajmy historji do różnych zjawisk współczesnych, nie popadajmy w przesadę w fabrykowaniu sztucznej patyny wieków dla nobilitowania nowoczesnych partyjno-politycznych organizacji! Wszak przyzna Pan może, że trochę to jakoś „niehistorycznie“ wygląda mianowanie Stefana Batorego, czy Zamoyskiego, czy Kościuszki narodowymi demokratami! W żadnym zaś razie nie powinni czynić tego ci, którzy mniej lub więcej opierają się na ideologji stronnictwa narodowego.

Bo jeżeli już koniecznie zależy na nobilitacji naszych wzajemnych rodowodów, to każdy fachowy historyk, na-

wet o przekonaniach narodowo-demokratycznych, przyznać musi, że rodowód ideowy konserwatywnej szkoły krakowskiej, do której mam zaszczyt należeć, sięga znacznie dalej wstecz, niż wyprowadzony przez Pana rodowód endecji — i, co więcej, ideologja ta „stańczykowska" ciągnie się faktycznie i praktycznie nieprzerwaną nicią od czterystu lat po dzień dzisiejszy. Wszak pierwszym wybitniejszym człowiekiem w Polsce, który naprawdę tak myślał, jak my dzisiaj myślimy i tak krytycznie zapatrywał się na nierząd partyjny, był Stańczyk. Od jego czasów ciągnie się nieprzerwana linja pisarzy i mężów stanu, dążących do „Naprawy Rzeczypospolitej", hamowanej bezprzykładnem warcholstwem i partyjnym uporem przez bezmyślne tłumy „narodowej demokracji szlacheckiej". A gdy zdawało się już, że kilkusetletnie wysiłki tych „stańczyków" — zwolenników naprawy — odniosły wreszcie pewien sukces w przeforsowaniu Konstytucji 3-go Maja, to narodowa demokracja szlachecka, rozagitowana demagogicznie od czasów nieszczęsnej zasady „viritim", wykoncypowanej przez dzielnego, ale krótkowzrocznego Zamoyskiego, wytężyła wszystkie siły, aby zniszczyć w samym zarodku to pierwsze dzieło jakiego takiego odrodzenia państwa, nie wahając się sięgnąć nawet o pomoc Rosji w Targowicy. To przecież fakta znane, nie wymagające komentarzy.

A potem ciągnie się ideologja nasza nieprzerwanie przez czyn legjonów Dąbrowskiego, prace Lubeckiego, założenie „Czasu", a wreszcie formalnego Stronnictwa Prawicy Narodowej. Wszędzie ta sama myśl, krytyczna wobec nierządu polskiego i warcholskiego partyjnictwa, a dążąca do realnej naprawy stosunków, do wprowadzenia jakiejś twórczej, organicznej pracy, ładu i niezbędnej dyscypliny w społeczeństwie.

I walka tej właśnie konserwatywnej ideologji naprawy, w zrozumieniu niebezpieczeństw, jakie grożą narodowi przez partyjnictwo i prywatę, ze złotą wolnością narodowej demokracji szlacheckiej, potem ludowej — oto kwinte-

sencja naszych dziejów od ostatnich Jagiellonów po dzień dzisiejszy!

Tak wyglądają nasz i wasz rodowód polityczny w świetle prawdy. Co zaś do uświadamiania warstw niższych i przyciągania ich do pracy obywatelskiej, to było to zawsze i jest także i w naszym programie. Ale rozdanie odrazu wszystkim, bez różnicy, absolutnie równych praw i równej mocy w kształtowaniu losów państwa nie jest ani sprawiedliwością społeczną, ani rozumem politycznym, ani prawdziwym patrjotyzmem, ale — demagogją! Nie daje się pochodni do ręki niedorosłym lub szalonym, bo pochodnię prawdziwego postępu dzierżyć może skutecznie tylko — elita!

R. Musi Pan przyznać w każdym razie, że w naszych czasach myśl narodowo-demokratyczna położyła jednak wielkie zasługi, zwłaszcza w b. Kongresówce, gdzie działali komisarze włościańscy — owi ze strony rządu rosyjskiego ustanowieni „opiekunowie“ chłopów polskich. Tu praca narodowej demokracji kierowała się głównie w stronę tajnego nauczania języka polskiego i patrjotycznego uświadamiania warstw nieoświeconych. Jeżeli obecnie, mimo pomyślnych warunków niepodległości, nie mamy u nas jeszcze na wsi takich stosunków, jakie panują w Rosji, to główną zasługą jest tu właśnie tylko praca narodowych demokratów, od chwili ostatniego powstania, aż po sam dzień wybuchu wojny światowej. Ale przystępowanie do takiej pracy bez dodania otuchy, iż podniesienie się intelektualne i społeczne klasy niższej jest możliwe, byłoby bez skutku. Co więcej — ludzie, pracujący na tem polu, musieli sami schodzić niejako do poziomu ludu, który mieli uświadamiać, gdyż inaczej nie byliby zrozumiani.

Była to największa ofiara, jaką człowiek swemu bliźniemu oddać może, ale tak samo konieczna, jak niezbędnem jest zniżenie się sposobem mówienia, rozumowania, a nawet usposobieniem, do dzieci, które ma się pouczać i podnosić na wyższy poziom intelektu. I tę właśnie ofiarną

pracę w nizinach uznano w warstwach zachowawczo-arystokratycznych, obserwujących ją tylko ze swych buduarów i gabinetów, za „równanie ku dołowi“, za niwelację społeczeństwa według najniższego miernika, zatem za objaw ujemny, przeciwpostępowy.

Tymczasem cała ta akcja narodowych demokratów nie była niczem innem, jak tylko konieczną taktyką, bez której niepodobna było niczego dokonać. Wszak i taki zdecydowany narodowy demokrata, jakim był Tadeusz Kościuszko, sam pochodzący ze starej szlachty litewskiej, włożywszy na siebie sukmanę krakowską, bynajmniej nie „schłopiał“, ani intelektualnie, ani etycznie, ani też nikogo do tego nie nakłaniał. Pragnął tylko tym znakiem „ad oculos“ podnieść kosynierów do siebie, choćby tylko powierzchownie.

B. No, no, dajmy pokój Kościuszce w jego nowej roli endeckiej, którą mu Pan narzuca! Chcąc zapisać kogoś na listę stronnictwa, trzeba go przynajmniej spytać o pozwolenie, a to — przyzna Pan — natrafia w tym wypadku na pewne formalne trudności!

Co do zasług narodowej demokracji w epoce rozbiorowej — tych nikt z nas nie neguje i to nietylko w zakresie szkolnictwa i oświaty ludowej, ale w daleko ważniejszym wówczas jeszcze zakresie, mianowicie ogólnego podnoszenia ducha patrjotycznego w społeczeństwie. Wszak nie kto inny, jak wy, staliście przed czterdziestu laty na czele moralnej walki z Rosją, tego najliczniejszego z naszych zaborców, który bez porównania największą część ziemi naszej zagarnął i najbardziej rozsadzająco, gangrenująco działał na nas, a zwłaszcza na nasze warstwy ludowe. Jako chłopiec uczyłem się piosenek patrjotycznych, pod waszym, endeckim wpływem ówczesnym niewątpliwie komponowanych, np.:

„O Polsko droga, o Ojczyzno święta,
My twoje dzieci, my skruszym twe pęta!“

Przecież wtedy jeszcze nie było piłsudczyków, którzyby takie „nieprawomyślne“ pieśni mogli komponować, a my, konserwatyści, z natury rzeczy nie tą drogą pracowaliśmy nad wzmocnieniem ducha narodowego, ale raczej krytyką, metodą historycznego rachunku sumienia i dążeniem do realnych celów, jakie wówczas można było wogóle osiągnąć dla polskości.

Wy więc uczyliście nas — nietylko chłopów — głośnego oporu przeciw zaborcom, a zwłaszcza Moskalom. Każdy z nas, jako dziecko, marzył, że kiedyś „pójdzie na Moskala“. A to przecież było waszem i słusznem dziełem!

No, coprawda później, gdy przyszło co do czego, to sytuacja nagle i kapitalnie się zmieniła. My, legitymiści, ugodowcy, podparliśmy zdecydowanie sztandar Polski w walce z Moskalem, osobiście, finansowo i możliwym wpływem na komendę austrjacką. Wy schroniliście się wygodnie do Paryża i Londynu (gest magnacki wyjazdu „zagranicę“!), albo ofiarowaliście generałowi rosyjskiemu z pokłonem szablę honorową za „połączenie na wieczne czasy rdzennie rosyjskiego Lwowa z rosyjską macierzą“.

Co zaś do wspomnianej przez Pana ofiarności schodzenia do poziomu warstw niższych, w których prowadzi się pracę apostolską — to i owszem. Każdy to robił i robi, kto pracuje oświatowo na wsi lub w kółkach włościańskich, czy robotniczych, kooperatywach ludowych i t. d. A pracują tam przecież nietylko narodowi demokraci. Ale chodzi o to, żeby praca ta nie odbywała się demagogicznie kosztem dobrej sławy i mienia warstw wyższych, które narodowa demokracja, w licytacji z radykalnemi partjami ludowemi, przy okazji tej właśnie „ofiarnej“ pracy szkalowała jako obszarników, krwiopijców, słowem „magnatów i prałatów“, aby pozyskać sobie sympatje, no i głosy wyborcze Maćków i Bartków. A w Sejmie potem, znów na wyścigi z partjami radykalnemi, usiłowała endecja proskrybować i ograbić z mienia zarówno nas, konserwatystów, jak i was, panowie ziemianie-narodowcy, którzy, oczarowani

sprytnem hasłem „Bóg i Ojczyzna“—służycie jej, przepraszam za wyrażenie, za owce do strzyży. Bo przecież hasło zniszczenia obszarnika jest i było zawsze najpopularniejszem dla pozyskania sobie mas ciemnych a głodnych przez wszystkie demokratyczne ugrupowania, bez wyjątku.

Dlatego więc wspomniana przez Pana ofiarność narodowej demokracji wygląda mi trochę na ofiarność — z naszej kieszeni, a apostolskie jej zniżanie się do proletarjatu robione jest kosztem proletaryzowania przedewszystkiem większego i średniego stanu posiadania w Polsce. I stąd twierdzę, że taka działalność różni się tylko stopniem, a nie zasadą, od hasła bolszewickiego „dołoj gramotnyje“.

A co do przywdziewania sukmany, to uczynił to przy okazji nietylko Kościuszko, ale niedawno również i Prezydent Mościcki — na dożynkach w Spale. A chyba nie zaliczy go Pan w poczet narodowych demokratów! Jest to pewien gest poszanowania stanu włościańskiego, nic więcej!

R. Przejdźmy do sytuacji obecnej. Po wojnie światowej, gdy zadanie narodowych demokratów było niejako dokonanie...

B. Słusznie, powinni więc byli zlikwidować swe stronnictwo!

R. ... zwłaszcza, gdy inne stronnictwa, jak ludowcowe i socjalistyczne, zaczęły się licytować pod względem demokratyczności i obiecywania różnych beneficjów ludowi — co im łatwem było, gdyż obiecanki nie dotyczyły ich własnej kieszeni...

B. Obiecanki endecji dotyczyły także tylko naszej kieszeni!!

R. ... wówczas narodowcy...

B. Ależ wtedy jeszcze narodowców nie było, tylko w dalszym ciągu narodowa demokracja w postaci dość radykalnego Związku ludowo-narodowego!

R. ... musieli odtrącić przydomek „demokratyczni“, a wystąpić wyłącznie pod hasłem, które ich zawsze łączyło, t. j. „Bóg i Ojczyzna“! Przyjęli zatem, jako swoje za-

danie, obronę katolicyzmu w Polsce i idei narodowej, bez żadnych dokładek i dodatków.

B. Najmocniej przepraszam, ale w imię prawdy konstatuję, że hasło „Bóg i Ojczyzna“ bynajmniej nie łączyło zawsze narodowej demokracji. Ja sam pamiętam dobrze te czasy, gdy prasa endecka miała charakter wybitnie radykalny i była w niej mowa o wyzwoleniu siłą z pod moskiewskich rządów jakiejś polskiej republiki ludowej, któraby przedewszystkiem łaźnię sprawiła „magnatom i prałatom“, ale o religji nic tam mowy nie było, a jeżeli, to w sposób niebardzo budujący. Proszę czytać wasze „Słowo Polskie“ z lat dziewięćdziesiątych! Dopiero potem, znacznie później, wobec utraty terenu dla uprawiania demagogji na rzecz socjalistów i ludowców, zmuszeni zostali narodowi demokraci wykonać salto mortale w kierunku szlachty i Kościoła, aby dobrać się szlachcie do kieszeni... z krzyżem w ręku!! Przepraszam, ale przypomina mi się dosadne określenie Zagłoby: „Djabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni“! A zresztą, aby ułatwić sobie zadanie i „sich wichtig machen“ w oczach bezkrytycznej gawiedzi, oraz niektórych sfer, mniej krytycznie ujmujących jej usłużność wobec duchowieństwa, ogłosiła narodowa demokracja nas, konserwatystów, za masonów i wypowiedziała nam wojnę krzyżową z kropidłem w ręku. Wszak i dziś jeszcze najpoważniejsi z narodowych demokratów czy narodowców uważają wielu z nas całkiem na serjo za masonów i tak o nas mówią i piszą.

Zaprawdę, nikt przed wami nie wpadł w Polsce na pomysł, aby z religji katolickiej zrobić sobie narzędzie do walki wyborczej i najdemagogiczniejszej agitacji partyjnej po zakrystjach, stowarzyszeniach sług, a nawet sodalicjach i innych zrzeszeniach religijnych. Doprowadziliście do tego, że wielu, bardzo wielu gorliwych katolików — katolików z przekonania — stroni od związków religijnych i dobroczynnych, niechcąc wpaść tam pod komendę endecką, wprzągającą nawet religję do partyjnej agitacji wyborczej!

R. W każdym razie wielką jest niezręcznością walczenie obecnie z jakąś endecją...

B. Notuję skrupulatnie pańskie oświadczenie, że jej już niema.

R. ...przypisywanie jej chęci niwelowania społeczeństwa wdół, nazywanie jej warchołami, tromtadratami...

B. Jakżeż nie nazwać jej tromtadratami, skoro uczyła nas śpiewać:

— — — ostre kosy nasze
Wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze!

A pozatem ciągłe obietnice i frazesy, które skończyły się bolszewicką reformą rolną, zduszeniem całej inteligencji podatkami i ostracyzmem każdego, w czysty kołnierzyk i krawatkę ubranego obywatela!

R. ...gdy przecież idea narodowo-demokratyczna, zainicjowana przez króla Stefana Batorego...

B. No, no!

R. ...ujawniająca się tak chlubnie dla nas w Konstytucji 3-go Maja...

B. No, tę chyba przeforsował na narodowych demokratach szlacheckich pierwszy „zamach majowy“, pozyskawszy dla siebie chwilowo króla!

R. ...we wszelkich walkach naszych o niepodległość...

B. Nie wiem, czy belwederczycy i „czerwoni“ z powstania styczniowego przyznaliby się do was, gdyby ożyli, ale to pewna, że was nie było w legjonach Dąbrowskiego.

R. ...dziś już, po uzyskaniu przez nas niepodległości i silnem zainteresowaniu, o ile to uczynić się dało, ludu w losach wspólnej naszej ojczyzny, ustąpiła z dawnego stanowiska, a stała się tylko tem, czem była zawsze, t. j. narodową i katolicką!!

B. Jakże więc? Za jednym tchem mówi Pan, że idea narodowo-demokratyczna ustąpiła dziś z dawnego stanowiska, a równocześnie, że wróciła do niego? Oczywista

sprzeczność, z której wybrnięcie ułatwię Panu, stwierdzeniem, że idea ta — za wyjątkiem zmiany nastawienia antyrosyjskiego — zawsze była tem, czem jest dzisiaj, mianowicie zakonspirowanem dążeniem do zdobycia władzy nad społeczeństwem za każdą cenę, bez wyboru. A częste zmiany firmy stronnictwa i różne jego koziołki na prawo i lewo potwierdzają tylko słuszność mej tezy!

R. Wszelkie przypisywanie nam niechęci do zmiany naszej ordynacj wyborczej, dopuszczającej istotnie do wyboru na posłów i senatorów nieraz ludzi, niegodnych tego tak pod względem intelektualnym, jak i etycznym...

B. Aha!...

R. ...jest zpuełnie gołosłownem, gdyż narodowcy byli może pierwsi, którzy występowali przeciw obecnej ordynacji już wtedy, gdy p. Piłsudskiemu nawet nie przychodziła na myśl jej zmiana, gdyż jego wszak ludzie i nie bez jego inspiracji ją tworzyli.

B. Marsz. Piłsudski, ówczesny Naczelnik Państwa, nie ingerując lub bardzo słabo ingerując w kierunku kształtowania się ustroju świeżo wskrzeszonego państwa, dał dowód wielkiego politycznego rozumu i państwo to uchronił przed rewolucją. Osiadł w Belwederze i — nie mając wówczas jeszcze materjalnej mocy do przeprowadzenia różnych bezpośrednio konstruktywnych zamierzeń, a przytem owiany niewątpliwie pewnym optymizmem w twórczość polskiego społeczeństwa i patrjotyzm jego partji demokratycznych — pozwolił im się dowoli wyszumieć, wygadać, wywieszać tu i ówdzie czerwone płachty, a nawet wybaczył endeckim zamachowcom na jego rząd i osobę w r. 1919. Tą swą pozorną wówczas biernością wobec endeckiego testamentu Świeżyńskiego i dalszych absurdalnych, dziecinnie karygodnych wybryków narodowych demokratów, socjalistów z pod swego dawnego znaku, oraz chłopskich radykałów, którzy w swych doktrynach „suwerenności“ i „ustroju robotniczo-włościańskiego“ stracili wszelką miarę i przytomność, ocalił właśnie państwo.

Można o nim dosłownie powiedzieć, jak o Fabjuszu Kunktatorze, że wówczas — w momencie szaleństwa endecko-socjalistycznego i chłopskiego — cunctando restituit Rem!

Bo gdyby inaczej postąpił, czego w braku wojska nawet i nie mógł — gdyby np. powołał na premjera ziemianina o feudalnych przekonaniach austrjackich lub rosyjskich — to ów sztandar czerwony, wywieszony w jego obecności, jako parodniowa zabawka, na wieży zamkowej w Warszawie, powiewałby tam po dzień dzisiejszy. Dlatego wybrał oddanego sobie socjalistę-niepodległościowca i kazał mu stanąć na baczność. A potem przypatrywał się ze smętnym, ale z konieczności pobłażliwym uśmiechem, jak różni dyletanci ministerjalni, z pod demokratycznych sztandarów czerwonych, czerwono-białych i zielonych, fabrykowali wspólnie tę radykalną republikę, w połowie ludowo-narodową, w połowie robotniczo-włościańską, dziwną, samobójczą mieszaninę bolszewizmu i dawnej złotej wolności. Dopiero, gdy przebrała się miara tych pierwszych siedmiu lat warcholskiego szału po jednej i po drugiej stronie, wziął bicz do ręki i rozpędził całe to towarzystwo. Oczywiście, że i sam nauczył się wiele w ciągu tych lat siedmiu i poznał prawdziwą, zdemaskowaną wartość strupieszałej idei demokratycznej wszelkich odcieni.

Ale tego wszystkiego nie są w stanie po dziś dzień pojąć nasi „patrjoci“, dla których niemasz patrjotyzmu, jak tylko na chorągiewkach i w piszczałkach, wygrywających krakowiaki czy kujawiaki!

R. Ale jeżeli chce się dziś zjednać tych ludzi, dla których poza utrzymaniem wiary i narodowości polskiej nic więcej nie istnieje...

B. Panie Szanowny, racz zważyć, że rozmawiasz z przedstawicielem — coprawda skromnym — starej, wytrawnej szkoły politycznej, który zna na wylot swych rodaków i dlatego trudno mu powstrzymać się od uśmiechu przy pewnych, ze zbytnią emfazą wygłaszanych zdaniach!

R. ...w takim razie innym trzeba do nich przemawiać językiem, nie obrzucać przezwiskami żargonu uliczno-socjalistycznego, jak „endeki“, „tromtadraci“ i t. p., lub przypisywać im dążności bolszewickie na wzór „dołoj gramotnyje“ — bo tą drogą nie dojdziemy do porozumienia.

B. Dlaczego mi Pan ciągle jakieś porozumienie polityczne narzuca, którego wcale nie pragnę? Stwierdzam raz jeszcze, że omylił się Pan zasadniczo, biorąc artykuł „Naszej Przyszłości“ za chęć paktowania z narodowcami czy ludowo-narodowcami, czy wszechpolakami, czy narodowo-demokratami, czy narodowo-katolikami, — bo już nie wiem, jaką właściwie nazwę w tej chwili do Pańskiego stronnictwa zastosować! Narodowcami tout court? Dobrze, niechże będzie narodowcami! Nie o nazwę mi chodzi, bo wszak doskonale się rozumiemy — nieprawdaż? A jeżeli niektórym ziemianom wystarcza prosta zmiana nazwy, aby ich do radykalnego zawsze stronnictwa stuprocentowo przekonać, to już ich interes, który niech przy najbliższej sposobności na swej skórze znowu poczują! Jeżeli was, ziemian-narodowców, teraz nawet jeszcze nie przekonają takie fakta, że z jednej strony endecja głosuje z socjalistami i najgorszymi radykałami, a z drugiej strony, że Piłsudski wydał jawnie i otwarcie walkę na śmierć i życie całej radykalnej demokracji w państwie, oddając jej przywódców pod sąd i łamiąc siłą antypaństwową akcję Ukraińców i elementów wywrotowych — to mogę tylko ubolewać nad waszem zaślepieniem, ale oczywiście poradzić wam nic nie mogę, bo volenti non fit injuria!

Zresztą dziwnie rozumujecie, panowie ziemianie-narodowcy! Mieliście za złe ś. p. Narutowiczowi, dzielnemu, umiarkowanemu w przekonaniach i nienagannemu patrjocie, że głosowały na niego także i mniejszości narodowe. My przeciwnie, uważaliśmy mu to za wielką zasługę, iż jako głowa państwa zdołał pozyskać sobie także głosy mniejszości, reprezentujące, bądź co bądź, jedną trzecią ludności państwa. Podobnie nie jesteście w stanie — czy nie chce-

cie — zrozumieć, że z chwilą, kiedy przed jedenastu laty socjalizm polski, w osobie Jędrzeja Moraczewskiego, gdy tworzyły się wszędzie w Polsce rady robotniczo-włościańskie i powiewały czerwone sztandary, stanął na baczność przed Piłsudskim, tem samem został przez niego okiełznany i jakkolwiek nie mógł być oczywiście zniszczony i wypaczył częściowo ustrój młodego państwa, to jednak nie mógł już zrzucić nałożonego mu wędzidła i musiał, chcąc czy niechcąc, pójść na służbę państwowości polskiej i walczyć z bolszewikami pod Warszawą, jak każdy patrjota.

Czyż ta prawda, tak prosta i oczywista, nie może znaleźć dostępu do znarkotyzownaych przez endecję umysłów ziemian- narodowców?! Czyż trzeba wam wykładać ab ovo najelementarniejsze zasady rządzenia trzydziesto-miljonowem, rozwichrzonem demagogją społeczeństwem? Czy sądzicie, panowie, że zacięty nacjonalizm narodowej demokracji, podżegający wszystkich przeciw wszystkim, odmawiający racji bytu w państwie wszystkim, którzy nie chcieli na ślepo na tę tromtadrację przysięgać, byłby w latach 1919/20 uspokoił państwo? Czy może byłoby tego dokonało jej hasło przymusowej polonizacji innoplemiennych elementów i wojny religijnej, piętnujące masonerją każdego, kto nie wierzył, że muzyk Paderewski zna się na sztuce rządzenia, chłop Witos na podniesieniu rolnictwa, a fabrykant drutu Kucharski na ratowaniu skarbu i waluty?

Nie możecie zapomnieć Piłsudskiemu, że należał niegdyś do P. P. S. A gdzież miał należeć wówczas człowiek, który chciał przygotować czynny opór przeciw zaborcom, ten sam opór czynny, który głosiła przedtem słynna broszurka waszego Miłkowskiego (T. T. Jeża), której jednak później wyparliście się, robiąc nagle, pod przywództwem Dmowskiego, karkołomne salto mortale z zamku Rappers-wilskiego przed tron carski w Petersburgu? Przecież nie w waszych, wygodnych ziemiańskich salonach, ani nie w naszych klubach legitymistycznych można było znaleźć wówczas oparcie dla roboty niepodległościowej, ale tylko

w zakonspirowanej akcji robotniczej! Coprawda, my — jakkolwiek ciężcy legitymiści — poparliśmy potem czyn zbrojny, ile tylko nas stać było, podczas gdy wy zamknęliście „ostrożnie“ przed pierwszym sztandarem polskim wasze salony, wyczekując i kalkulując, co fortuna przyniesie.

Macie nieufność do Piłsudskiego, że należał ongiś do socjalistów, chociaż z nimi dziś — i już oddawna — walczy, chociaż ich przywódcę, oficjalne zajmującego chwilowo stanowisko, nazwał publicznie „durniem“, a wszelkie rodzaje grasującej w Polsce międzynarodówki „obcemi agenturami“; chociaż miażdży skutecznie radykalizm w Polsce, jak nikt przed nim; chociaż zgniótł sabotaż ukraiński tak energicznie, jakby się na to żaden „narodowiec“ nie zdobył! A zresztą, jakaż to była ewolucja polityczna niejednego z wybitnych przywódców dzisiejszego niby umiarkowanego i ultrakatolickiego obozu narodowego? Czy wśród nich nie było zdecydowanych radykałów, socjalistów, bezwyznaniowców, no, a zwłaszcza przedstawicieli obcych wyznań i narodowości? I czy dziś jeszcze ci sami wasi przywódcy nie bratają się z socjalizmem? Przedziwną jest zaiste wasza logika, panowie narodowcy: zwalczacie namiętnie Piłsudskiego, bo był niegdyś socjalistą, a popieracie Daszyńskiego, który nietylko był socjalistą, ale pozostał nim po dzień dzisiejszy!

R. Autor broszurki „Równanie ku górze“ sam potępia wyrażenia, jakich używa obecny premier dla zohydzenia naszego sejmu. Pod tym względem znajdzie autor w Polsce zapewne przytłaczającą większość, gdyż nasza kultura zachodnio-europejska...

B. Hm, hm...

R. ...nawet u prostych ludzi, wstrząsa się na takie metody. Tembardziej nie należy zachowawcom obrzucać różnymi epitetami nas, ziemian, o których zjednanie im chodziło. Cóżby wynikło, gdyby vice versa narodowcy zaczęli wyciągać z lamusa dawnych polemik wszystkie brzyd-

kie przezwiska, jakiemi obdarzano zachowawców za czasów austrjackich, rosyjskich i niemieckich?

B. Owszem, nie mam żadnych zastrzeżeń przeciw przypominaniu przez Pana przezwisk, jakiemi obdarzali nas, konserwatystów, Austrjacy, Moskale, Prusacy, narodowa demokracja i socjaliści, za czasów zaborczych! Tylko śmiało, proszę się nie krępować: a więc byliśmy nazywani zaśniedziałymi krwiopijcami, zdrajcami, masonami, austrofilami, feudalistami i czem jeszcze. . . aha — ugodowcami! Istotnie, istotnie, zdobyliśmy się tylko na autonomję Galicji, podniesienie zrozumienia, a więc i nauki historji polskiej, oraz na cichą, niereklamową „pracę organiczną“, wobec której tandem tedy skapitulować musiała żandarmerja trójzaborcza (tembardziej, że w Galicji zdobyliśmy sobie własną polską żandarmerję!). Nie umieliśmy konspirować. Prawda, to słaba strona naszego legitymizmu. Ale cóż, nie każdego stać na wszystko! Dopiero w ostatnich czasach przed wybuchem wojny podniecił nas do „czynnej roboty narodowej“ wasz odstraszający przykład rzucenia się na twarz przed Moskwą. Wtedy przejęliśmy zarzucone przez was gdzieś w zakątkach Rapperswilu tradycje bojowo-narodowe. A wy — w tej godzinie czynu — staliście się nagle... skrajnymi ugodowcami!!!

R. Można być pewnym, że takie wzajemne zohydzania się do niczego nie prowadzą, jak i w rodzinie, pragnącej zgody, zagajać jej inwektywami niepodobna, bo to także do niczego nie prowadzi.

B. Niechże Pan nie buduje wszystkich swych rozumowań ciągle na rzekomej naszej intencji pozyskania narodowców. Ani to nam w głowie. Może to łudzić innych, mniej politycznie wyrobionych, ale my, pełno uświadomieni członkowie konserwatywnej szkoły krakowskiej, wiemy doskonale — i nie od wczoraj — że endecja... przepraszam — obóz narodowy, jest stronnictwem bezwzględnie nieprzejednanem i że racja jego bytu polega właśnie na tem nieprzejednaniu, na wiecznej opozycji przeciw wszystkiemu,

co nie jest endeckie. Świadomi też tego stanu rzeczy przywódcy wasi wiedzą doskonale, że gdyby endecja weszła z kimkolwiek w kompromis na serjo, to odrazu przestałaby istnieć. Przecież istota endecji, to nie żaden program, jak go mają np. konserwatyści, ludowcy lub socjaliści, ale tylko zasadnicza negacja wszystkiego, co nie chce podlegać rozkazom pewnej, nawpół zakonspirowanej grupy ludzi, a przedewszystkiem negacja rzeczywistości. Gdyby więc przyszło do porozumienia między nami dwoma, to ja zostałbym nadal konserwatystą, ale Pan przestałby odrazu być narodowcem. Może pan w pierwszej chwili tego nie zrozumie, ale proszę nieco głębiej nad tem się zastanowić: konserwatyzm jest pewnym światopoglądem, a endecja tylko zasadniczą negacją wszystkiego i za wszelką cenę. Jest to pewien rodzaj nihilizmu, polskiego autoramentu, który pryska odrazu w zetknięciu z rzeczywistością.

Oto przykład, pierwszy z brzegu. Głosiliście dotąd, od lat trzydziestu, hasło walki z Niemcami. Sztandarem waszym była obrona kresów zachodnich i marsz na Berlin, nawet z oparciem o Rosję, nawet za cenę pozostawienia jej połowy państwa za Bugiem i Sanem. Wystarczyło, że na bezczelną mowę Treviranusa zareagował przypadkiem najpierw obóz sanacyjny, a momentalnie stają gazety wasze jak gdyby w obronie Niemiec, napastowanych przez piłsudczyków!

Dlatego mogę Pana zapewnić raz jeszcze, że o wszystkiem innem raczej myślimy, niż o przekonywaniu czy zjednywaniu waszego obozu wiekuistej negacji.

R. A co Pan powiada na ten straszny język, jakiego używa nasz obecny premier w swych wywiadach i artykułach? Ten język używany jest przez człowieka, który piastuje godność, jaką pragnęlibyśmy zawsze szanować w najwyższym stopniu, tym językiem przemawia on do społeczeństwa, w którem nawet prosty chłop, polemizujący np. w kółku rolniczem, używa nieraz bardzo trafnych i dowcipnych argumentów, ale jak ognia unika jakiegokolwiek

wyrażenia, któreby nie było prawdziwie parlamentarnem. Nie wiadomo, gdzieby język i soczyste wyrażenia p. Marszałka mogły mieć skutek, u nas jednak wywołują wprost przeciwne wrażenie i skutek, jaki zamierzały — mianowicie osłabiają wiarę w umiejętność dobierania środków działania w naszem, bardzo już, mimo wszystko, kulturalnem społeczeństwie.

B. Prawda, język różnych enuncjacji marszałka Piłsudskiego nie może być strawnym dla nas, konserwatystów i bardzo nad nim ubolewamy. Można przecież nawet zmiażdżyć kogoś bez uciekania się do takich wyrażeń. Ale bądźmy sprawiedliwi i realni. Polityka nie jest poezją. Nie zaprzeczy Pan chyba, że długoletnie rządy rozwydrzonego, radykalnego chamstwa przeżarły i stępiły psychikę naszego społeczeństwa, że żadna grzeczność, ani wzniosły apel, ani rozumny argument na nie już nie działa. Wystarczy przejść się po ulicy. Potrąci cię brutalnie nietylko każdy prawie mężczyzna, ale i każda prawie kobieta. A co na ulicy, to i w niejednym salonie, sklepie, a tembardziej w chacie, na wiecu i w polityce. Codzienne doświadczenie zmusza najspokojniejszych i najkulturalniejszych ludzi do używania całkiem zdecydowanych gestów i wyrazów, bo innych nasi rodacy — wcale nie rozumieją!

A cóż dopiero, gdy chodzi o nasze stosunki parlamentarne z całym ich bijącym w twarz absurdem! Proszę zważyć, że według litery naszej sławetnej Konstytucji marcowej, poseł reprezentuje całe państwo. A więc np. bolszewik ukraiński, wybrany gdzieś za sowieckie pieniądze, może reprezentować Warszawę, Kraków lub Poznań! A nadto może nietykalnie prowadzić jawną antypaństwową robotę, zmierzającą do oddania Polski pod władzę Sowietów. Jak tu dziwić się, że wobec takich horendalnych absurdów, uchwalonych przez endecję na współkę z ludowcami i socjalistami, jako „podstawa woli i wolności polskiego ludu i państwowego bytu“, nie znajduje Piłsudski innych słów, jak tylko wyrażeń największego ośmieszenia i pogardy!

Albo jakże ma inaczej odnieść się do tej polskiej demokracji, która wzywa socjalistów niemieckich i francuskich na pomoc i dla kontroli wyborów w Polsce? Proszę mi choć jedno państwo jeszcze wskazać na świecie, nawet trzeciorzędne, w którem coś podobnego zrobili obywatele dla... walki z własnym rządem!

A wy, ziemianie-narodowcy, stajecie w obronie tych postępków i tych absurdalnych urządzeń konstytucyjnych, a żywicie elementarną nienawiść do człowieka, który słowem — zbyt może dosadnem — i czynem broni nas przed skrajną demagogją i bolszewizmem! Wszak wiadomo Panu, jako człowiekowi światłemu i oczytanemu, że poza narodową demokracją ma Piłsudski jeszcze jednego tylko na świecie wroga, który go równie nienawidzi i który także twierdzi, że tylko Piłsudski stoi skutecznie na przeszkodzie jego zamiarom względem Polski. A tym drugim wrogiem jest rząd Sowietów!!!

R. Najważniejszym jednak motywem broszury „Równanie ku górze“ było przytoczenie wyjątków przemówienia ministra Sławka w Radomiu na zjeździe legjonistów. Znajdujemy tam wprost apologję dawnej szlachty polskiej i przyznanie jej wielkich zasług dla ojczyzny, a równocześnie porównanie legjonistów z ową szlachtą, jako utrzymujących tradycję „przodków rycerzy“.

Poprostu oczy trzeba sobie było przecierać, gdy się w swoim czasie czytało owo przemówienie min. Sławka, które, jak dodaje autor broszury, nie mogło odbyć się bez wiedzy i aprobaty Józefa Piłsudskiego! Pochwała bowiem dawnej szlachty była tak ponad jej zasługi...

B. Niech Pan uważa, bo wychodzi z Pana w tej chwili — mimo Pańskiego „narodowego ziemiaństwa“ — ideologja radykalna! Wszak występuje Pan przeciw owej „narodowej demokracji szlacheckiej“, którą przed chwilą nazwał Pan protoplastą dzisiejszego obozu narodowców!

R. ...i tak bez zastrzeżeń, które historja dawno już zarejestrowała...

B. Zarejestrowała pod wpływem naszej historycznej szkoły krakowskiej, w zaczętej walce przeciw endecji, która nazwała nas zdrajcami ojczyzny, ponieważ nie rozczulaliśmy się nad „patrjotyzmem“ wielbicieli złotej wolności i nad „krzywdą“, jaka ich „niewinnie“ spotkała ze strony zaborców!

R. ...że wprost wprowadziła ta pochwała w zdumienie nietylko słuchaczów legjonistów, którym dotychczas stale kładło się w uszy coś wręcz przeciwnego...

B. ...??

R. ...ale i czytelników tego przemówienia, którzy się wzajemnie zapytywali: „Co to takiego? Co się stało?“ Zrozumiano jednak powszechnie, że to, co powiedział wówczas min. Sławek, było mu wprost podyktowane przez marszałka Piłsudskiego, obecnego wówczas w Radomiu na uroczystości czysto wojskowej, ale nieobecnego na owej „akademji“. Było to zatem prawdziwe zaskoczenie, tak często używane przez Piłsudskiego, ale zaskoczenie tembardziej bezskuteczne, im więcej było niespodziewane, bo bez jakiegokolwiek, choćby pobieżnego przygotowania opinji publicznej do „zmiany wiatru“.

B. Wierzę, że stronnictwo wasze było mową radomską zaskoczone i ogłuszone, jak uderzeniem maczugą! Ale dla nas nie była ona ani niespodzianką, ani zmianą wiatru. Dla nas było bowiem zawsze jasnem, że jeżeli obóz Marszałka ma mocniej i trwalej, niż każda przeciętna partja, utrzymać się przy władzy — i co najważniejsze—dokonać czegoś pozytywnego i prawdziwie konstruktywnego dla państwa, to musi, zwłaszcza w obecnych warunkach ogólno-światowej „ewolucji na prawo“ państw cywilizowanych, przejść siłą rzeczy na platformę mniej więcej zachowawczą. Bo demokracją czy rewolucją, nawet najszlachetniej pojętą, można conajwięcej tylko zburzyć coś złego, jakiś przestarzały porządek, ale zbudować coś twórczego można tylko ideą zachowawczą. Nie brak Panu chyba aż nadto wymownych przykładów w historji, choćby tylko nowożytnej.

R. Mowa radomska miała, zdaniem mojem, cel dwojaki: po pierwsze, miała zjednać sobie szlachtę, czyli obecne ziemiaństwo, którego dobroduszność jest widocznie przez pewne sfery zanadto przeceniana, oraz warstwy miejskie, wywodzące się częściowo z tego ziemiaństwa — wobec zbliżających się wyborów do sejmu, mających być niejako plebiscytem; drugim jednak i może najważniejszym celem tej mowy, było wyjaśnienie „nobilitacji" wyłącznie członków t. zw. „pierwszej brygady", którym coprawda nie rozdają herbów, ale za to wartości bardziej materjalne!

B. My, konserwatyści, jako wyznawcy realizmu politycznego, nie arogujemy sobie prawa autorytatywnego analizowania i sądzenia głębszych pobudek, kierujących czynami ludzkimi. Nam chodzi o fakta, gdyż one ostatecznie miarodajne są w polityce. Dlatego traktujemy mowę b. premiera Sławka tak, jaką jest na tle danych stosunków. Z jej tekstu wysnuwamy logiczne wnioski i dość nam na tem! Z drugiej strony uderza mnie jednak nielogiczność Pańskich żądań. Zarzuca Pan min. Sławkowi, że wygłosił mowę dla osiągnięcia pewnego celu. Jakto, więc miał wygłosić mowę bez celu — na wiatr? Zdaje mi się, że obóz narodowy w swej akcji politycznej wygłasza przemówienia także chyba z jakimś celem, pragnie niemi także kogoś pozyskać! Pierwszy raz słyszę tak osobliwy zarzut, robiony ministrowi, że przemawiał z jakimś celem. Coprawda, przemowy różnych ministrów-narodowców nieraz robiły wrażenie, że są wygłaszane bez żadnego celu!!

A co do owej „nobilitacji" i stanowisk, przypadających dzisiaj w udziale zwolennikom Marszałka! Szanowny Panie, nie dyskutujemy naiwnie! Wszak każdy rząd na świecie, który chce cośkolwiek przeprowadzić, stara się obsadzać różne placówki swoimi ludźmi. Przecież Pan lub ktokolwiek z pańskich zwolenników, doszedłszy do władzy, nie obsadzałby placówek piłsudczykami! Nieprawdaż? No, więc nie spierajmy się, jako ludzie trzeźwi, bo sprawa oczywista!

R. Ale niech Pan posłucha, co pisze w „Przełomie“ b. poseł klubu B. B., p. K. Kierzkowski, stojący na czele sanacyjnego „Związku pracy wsi i miast“, w artykule p. t. „Sojusznicy siły“:

„Wytworzyła się oto nowoczesna arystokracja rodowa, rozporządzająca sporymi objektami ziemskimi, nabytymi w niepodległej ojczyźnie na warunkach nadzwyczaj dogodnych. Już się dla Polski dość napracowała, czas teraz na siebie. Troska o poprawę doli robotnika już nie zaprząta jej umysłów, dziś trzeba myśleć o poprawie rasy bydła, o podniesieniu cen produktów rolnych. . . .A gdzież jest, gdzie się zapodział „Bóg młodości naszej“, który kazał walczyć o ideę wolności i sprawiedliwości społecznej? W kogo chcemy wmawiać, że ten Bóg jest z nami“?

Oto jak pisze, nie żaden opozycjonista, ale dotychczas najwierniejszy członek klubu B. B.! Tu mamy sedno rzeczy i o to chodziło min. Sławkowi w Radomiu, przemawiającemu za marsz. Piłsudskiego. Trzeba było przecież w jakiś sposób usprawiedliwić to powstawanie tej nowej „szlachty“ czy „arystokracji“, która, otrzymawszy na razie „panem bene — a niekiedy — male merentium“, oczekuje już tylko zaszczytów i godeł, gdy nowy sejm znowelizuje ustawę, znoszącą wszelkie dawne herby i tytuły.

B. Przepraszam, czy rozmawiam z ziemianinem o szlacheckiem nazwisku, wypierającym się przed chwilą demokratycznego przydomka swego stronnictwa, czy z „integralnym“ demokratą? Bo to wszystko, co Pan w tej chwili przytoczył, to najczystsza demagogja!!

Bo czyż ludzie, którzy z szablą w ręku szli na śmierć za Ojczyznę — bez tchórzliwego żądania „gwarancji“ ze strony Francuzów, Anglików, Niemców, czy Moskali — nie mają prawa uważać się za „nobilitowanych“ tak, jak nimi bywali na polu walki nasi i wasi przodkowie? A powtóre, skąd twierdzenie, że ci ludzie o Polsce w dalszym ciągu nie myślą, ale spoczęli na laurach? Wszak rzeczywistość wykazuje coś całkiem przeciwnego: oto ci właśnie

ludzie wzięli na siebie od przeszło czterech lat ciężką pracę i odpowiedzialność za losy państwa, podczas gdy Pański obóz narodowy cofnął się na najwygodniejsze w świecie stanowisko stałej opozycji, wichrzenia i nieproduktywności. Nie słyszałem też, żeby kto z tych ludzi zarobił miljony na Ojczyźnie. Wytaczacie im procesy w waszych gazetach o lada drobną działkę ziemi, którą ktoś z nich nabędzie, a pomijacie milczeniem te wielkie dobra, lasy, wille i kamienice, które nabyli czy zbudowali sobie za śmieszne kwoty w zdewaluowanych markach wasi stronnicy w czasach inflacji, gdzie przecież piłsudczycy nie rządzili, ani wpływu nie mieli!

A wreszcie zarzuca Pan — przy pomocy demagogicznego artykułu prasowego — rządzącym obecnie ludziom, że starają się o podniesienie cen zboża! I to robi Pan — ziemianin, gdy przecież całe ziemiaństwo i chłopi modlą się jednogłośnie o sprawiedliwe podniesienie tych cen, jako ratunek przed bankructwem rolnictwa!!

Niechże Pan raczy się zastanowić, do jakich to absurdalnych wniosków popycha ziemianina-narodowca ślepa, nieprzytomna zawiść, szczepiona mu konsekwentnie przez narodową demokrację!!!

R. Autor broszury „Równanie ku górze" i z nim zapewne wielu z dawnej, prawdziwej szlachty polskiej, zrozumiało wystąpienie radomskie inaczej, gdyż, jak widać z tekstu tej broszury, to zaskoczenie i tę ideologię „arystokratyzacji" wszystkich warstw narodu, czyli owo równanie ku górze, przyjmuje zupełnie poważnie!

B. Bo niema dotąd żadnych konkretnych danych, aby je traktować za niepoważne, a przeciwnie, wszystkie dotychczasowe fakta przemawiają za tem, że wystąpienie radomskie było szczere.

R. Przytoczę więc tylko pewien ustęp z broszury, który — łącznie z tem, co dalej tu powiem — sam przez się wyjaśni, dlaczego „zaskakiwania" tego rodzaju bezwzględ-

nie działać nie mogą na ludzi ostrożniejszych i całą grę rozumiejących. Autor broszury pisze:

„...Dopiero głos legjonisty, członka przedwojennej Polskiej Organizacji Wojskowej, nawiązując siłą rzeczy do tradycji dawnych legjonów, do niezachwianej wiary w Polskę „póki my żyjemy“, zabrzmiał do społeczeństwa polskiego właściwem słowem, jakie powinno było odezwać się na samym początku z ust tych, którzy po ustąpieniu okupantów zaczęli niby Polskę budować. Powiadam „niby“, gdyż to, co zaczęli budować, było Polską tylko z pozoru, a w rzeczywistości jakąś proletarjacką, wrogą kulturze — republiką ludową, radykalną, półsocjalistyczną, nawiązującą w gruncie rzeczy chętniej do sierpa i młota, niż do orła białego, któremu łobuzerskim gestem strącono koronę z głowy, jakby nic pilniejszego nie było w kraju do roboty“!

Świetne, cudowne słowa, pod któremi i ja i wszyscy ziemianie podpisaliby się niezawodnie oboma rękoma. Ale... przypomnijmy sobie, bo wszak to nie tak dawne czasy, kto to właśnie po ustąpieniu okupantów zaczął budować Polskę? Czy to przypadkiem nie Józef Piłsudski, który, wydelegowany w towarzystwie gen. Kesselera z Magdeburga, później pierwszego posła Niemiec w Warszawie, usuniętego bardzo szybko przez narodowców, przybył jako „zaproponowany“ nam naczelnik państwa?

B. Wstydźcie się panowie powtarzać podobne bajki, których nauczyli was, ziemian, żerujący na waszych głosach i kieszeniach agitatorzy narodowej demokracji! A więc Piłsudski w roli Lenina — najpierw zaaresztowany przez Niemców za „rewolucyjną agitację polską“, potem nasłany nam przez nich dlaczego? — może dla wzniecenia u nas rewolucji bolszewickiej, dla osłabienia Polski i poddania jej pod jarzmo niemieckie!!!

Wdzięczny jestem Panu za dostarczenie mi tak wyjątkowej okazji głębszego wglądu w całą otchłań demagogji Pańskiego stronnictwa. Zdawało mi się dotąd, że jako wy-

chowaniec krakowskiej szkoły konserwatywnej, znam was dobrze. Biję się w piersi za tę zarozumiałość! Bo Pańskie słowa odsłaniają przedemną rzeczy, o których mi się dotąd nie śniło! Rozumiem, że w walce o władzę i mandaty ludzie obrzucają się zarzutami, że w roznamiętnieniu nawet strzelają do siebie. Ale nie miałem wyobrażenia, że narodowa demokracja nie waha się nawet przed tak potwornem i bezrozumnem oszczerstwem i że znajduje środki i sposoby, aby podobne rzeczy wbijać w mózgi zamożnej, oświeconej warstwy ziemiańskiej!!!

I takie oskarżenie rzuca Pan na Piłsudskiego, który w ostatnich wyborach wolał dopuścić do znacznego wzmożenia mandatów swych wrogów endeckich w sejmie, byle zmniejszyć dotkliwie reperezentację niemiecką! To pewna, że do takiego zaparcia się dla dobra kraju, a z uszczerbkiem dla swej władzy osobistej i celów politycznych, nie byłoby zdolne wznieść się Pańskie stronnictwo, które poparło jawnie i zdecydowanie nawet listy międzynarodówki socjalistycznej, byle tylko dokuczyć Piłsudskiemu. Osądźcie sami na tym jednym, eliminującym dyskusję przykładzie, jaka między nim a wami różnica!

Otwiera mi Pan oczy, za co szczerze jestem wdzięczny. Jedną tylko, może zbyt suchą, mogę dać Panu na to wszystko odpowiedź: Na tak naiwnie przez Pana przedstawioną „współpracę Niemców z Piłsudskim“ są — pomijając wszystko inne — przedewszystkiem za mądrzy i Niemcy i społeczeństwo polskie i Piłsudski. W coś podobnego uwierzyć może chyba tylko bardzo zręcznie i konsekwentnie oplątany przez endeków siecią narodowiec, daleki od areny politycznych wypadków.

R. Tenże to naczelnik państwa, sam niegdyś bojowiec Polskiej Partji Socjalistycznej, czego się zresztą dotychczas nie wypiera.....

B. Dlaczego miałby się wypierać?

R. ...jako pierwszą swą czynność uważał zamiano-

wanie socjalisty Daszyńskiego pierwszym polskim premjerem.

B. Przepraszam — nieścisłość! Pierwszym polskim premjerem był Józef Świeżyński, narodowy demokrata, z wyłącznie endeckim gabinetem. Pozostawił po swem 13-dniowem panowaniu pierwszy projekt przymusowego wywłaszczenia ziemiaństwa na rzecz „ludu i postępu".

R. Skoro jednak osobistość Daszyńskiego była wówczas jeszcze nie do zniesienia...

B. Ale dzisiaj jest już dla was do zniesienia, skoro popieraliście go całą forsą w czasie ostatnich wyborów, zwłaszcza w Małopolsce!

R. ...szybko zamianował innego socjalistę na to stanowisko, mianowicie Jędrzeja Moraczewskiego. O tym panu wiemy tyle z ust samego Piłsudskiego, że kazawszy mu stanąć na baczność, polecił mu sformować pierwszy polski gabinet ministrów.

B. Przepraszam znowu: drugi, bo pierwszy był endecki i rozleciał się w pierwszym początku swej radosnej twórczości bolszewizującej już po dniach trzynastu, dając socjalistom dobry przykład, jak to trzeba dobierać się do polskich szlachciców, aby wyplenić ich z powierzchni ziemi!

R. Tenże Moraczewski, właśnie ściśle podług słów autora broszury „Równanie ku górze", nie miał nic pilniejszego do uczynienia, jak — czy to z własnego polecenia, czy którego z ministrów — wywiesić czerwony sztandar na Zamku Królewskim i strącić koronę Orłu Białemu. Czyż człowiek, któremu każą stawać na baczność i przyjmować najwyższą funkcję państwową, mógłby się poważyć na takie wyczyny, gdyby nie miał wyraźnej na to wskazówki?

B. Istotnie, nie mógłby. A ponieważ nie miał, więc też i nie uczynił! Bo sztandar wywiesiła na Zamku „deputacja ulicy" w postaci prywatnej grupki socjalistów, której w danych ówczesnych warunkach pozwolił na tę zabawę sam Piłsudski, mieszkający wówczas na Zamku, pod warunkiem, że po dokonaniu tego „wyczynu" rozejdą się

spokojnie do domu. A po paru dniach sztandar zniknął z wieży i „rewolucja w Polsce“ skończyła się na... kiwnięciu palcem. A koronę z głowy orła strącił p. Thugutt, wyzwoleniec, w swoim resorcie jako minister spraw wewnętrznych, czemu — nic dziwnego — socjalista Moraczewski się nie sprzeciwił. Zresztą już wyjaśniłem Panu chyba, jakie znaczenie na przyszłość miało owo stanięcie na baczność socjalizmu polskiego przed Piłsudskim i jak właśnie jego pobłażliwość i ruszenie ramionami na różne ówczesne „rewolucyjne“ wybryki sprawiło, że rozpłynęły się w piasku, umożliwiając przez to samo dojście do władzy gabinetu przeważnie endeckiego, z Paderewskim i Hącią na czele.

R. Ależ nie kto inny, tylko ci sami legjoniści i peowiacy, dziś przez obóz zachowawczy tak chwaleni, dawali podstawą tej Polsce, która do dziś dnia, dostawszy tak silną zaraz z początku dawkę trutki socjalistycznej, dotychczas przyjść do siebie nie może.

B. Właśnie, że nie. Legjoniści i peowiacy, z nieznacznymi wyjątkami, nie mieli wpływu na budowę ustroju Państwa. Nawet sam Piłsudski, o ile mi wiadomo, nie wiele się do niej mieszał.

Dlaczego zresztą kładzie Pan nacisk na pierwszą chwilę podniecenia umysłów w rodzącej się dopiero Polsce, a zapomina o tem, że właściwe podwaliny naszego ustroju politycznego, socjalnego i gospodarczego w państwie, którego skutki panowie ziemianie-narodowcy dziś jeszcze tak dobitnie odczuwacie, położył po tem spokojnie, z rozmysłem i bez żadnego nacisku rozczulający Blok Współpracy endecji, stronnictw chłopskich i socjalistów — tym razem już nie z legjonistą Moraczewskim, ale ze stuprocentowym socjalistą Daszyńskim na czele?

Chwilowe wywieszenie czerwonej płachty, modne wówczas w całej Europie, nic nam nie zaszkodziło, a dowodem tego choćby obecny wyborczy pogrom socjalistów z pod obu znaków. Natomiast rozczulająca współpraca

wasza z socjalistami wypróżniła wasze kieszenie, panowie ziemianie-narodowcy, w sposób chyba skuteczny, a byłaby was po dziś dzień już zupełnie na bruk wyrzuciła, gdyby nie zmiażdżenie bolszewizującego centrolewu przez Marszałka. Przecież według brzmienia uzgodnionej przez was z Witosem w Lanckoronie noweli do ustawy o reformie rolnej, w roku 1935 nie powinno już być ani jednego „obszarnika" na terenie polskiej republiki ludowej. Wszak prawda?

R. Mówi się w broszurze o poszanowaniu tradycji i o nobilitowaniu całego produktywnie pracującego społeczeństwa. A przecież tak niedawno jeszcze, bo coś przed rokiem, na zjeździe, stojącym pod patronatem ministra oświaty Czerwińskiego, w obecności jego delegata, niektórzy mówcy, kierownicy oświaty ludowej, zohydzali pamięć i działalność pisarską takich chlub naszego narodu, jak Mickiewicz i Sienkiewicz, mówiąc, że ci pisali tylko dla szlachty, że lud ich nie rozumie i nie chce, bo dziś powstaje inna inteligencja, która inaczej Polskę poprowadzi i t. p., i t. p. Sądzi Pan, że na takie horrenda powstała na owem zebraniu burza? Nic podobnego. Znaleźli się coprawda starsi nauczyciele, którzy z oburzeniem zaprotestowali przeciw tym bluźnierstwom, ale delegat ministerstwa... milczał. A minister Czerwiński wkrótce potem wyraził się w sejmie, że głównem jego zadaniem w gabinecie ministrów jest „walka z ideologją narodową". Tenże sam minister, który tylko wskutek nagłego zamknięcia sejmu nie otrzymał wotum nieufności, zasiada w dzisiejszym gabinecie ministrów!

I jakże tu wymagać, żebym np. ja, którego dziad walczył z najeźdźcą w roku 1831, którego ojciec, ranny w powstaniu w roku 1863, przez 25 lat tułał się potem na wygnaniu, którego jedyny syn w odsieczy Lwowa w r. 1919 poległ w walce z hajdamakami i wielu, wielu takich, jak ja, glebae adscripti, mieli iść ręka w rękę z rządem, który w osobie swego ministra oświaty ogłasza jako cel: walkę z ideą narodową? Naturalnie, chodzi tu o zaszczepienie w jej miejsce „ideologji państwowości", która, chociaż już

raz doszczętnie zbankrutowała w byłej Austrji, jednak najbliżej stoi internacjonalizmu, zatem teorji Marxa?!

B. Przedewszystkiem mięsza Pan tu dwa całkiem odrębne pojęcia: ideę narodową i ideę endecką, nazywając obie narodowemi. Tem to właśnie mieszaniem dwuch pojęć, ogólno-narodowego i partyjno-narodowego, usiłuje narodowa demokracja wygrywać swe atuty, wywołując galimatjas w szerszych, niedość krytycznych sferach. Wyrażenie ministra Czerwińskiego, o ile takie padło, jak je Pan przytacza, odnosiło się oczywiście do zwalczania partji endeckiej, a nie polskiej idei narodowej, za którą wszyscy stoimy, a marszałek Piłsudski pierwszy. Co za dziwna pretensja ze strony zwykłej partji politycznej, walczącej — jak każda inna — o mandaty, przybierania sobie nazwy, wyrażającej wspólne wszystkim Polakom uczucia, aby poprostu zdobywać sobie monopol polskości!

Dlatego stwierdzam przedewszystkiem, czemu Pan w imię rzeczywistości zaprzeczyć nie może, że wyrażenie „narodowy“ w waszych ustach oznacza w istocie tylko nazwę waszej partji, a wcale nie jest identyczne z polską ideą narodową.

Powtóre, wybryków nowoczesnej pedagogiki w Polsce mógłbym jako konserwatysta, zwolennik szlachetnej tradycji i umiaru, więcej daleko przytoczyć, niż powołanie się na jakąś radykalną przemowę w Łowiczu. Szczerze ubolewamy, że wieloletnia polityka stronnictw demokratycznych (bez żadnego udziału zwolenników Marszałka, którzy przecież, nie będąc wówczas przy władzy, oświatą wcale się nie zajmowali) dążyła całą parą do urobienia sobie z nauczycieli, a zwłaszcza po wsiach, posłusznego aparatu partyjno-agitacyjnego. Na tem tle szerzył się tam nietylko zacięty radykalizm społeczno-polityczny, ale i „naukowy“. Młodociana, niedoświadczona, a celowo radykalizowana pedagogika polska wydała wojnę nejpiękniejszej naszej literaturze, sztuce i t. d., zastępując ją kultem dziwadeł, bohomazów i wszelakich wogóle „nawości“! To

nam nie nowina, ale nie my, konserwatyści, stworzyliśmy ten stan rzeczy i z pewnością nie piłsudczycy, których dążeniem była wówczas polityka, a nie szkoła. W niej zaś grasowała wówczas niepodzielnie radosna twórczość demokratyzująca bloku endecko-chłopsko-socjalistycznego, no, a jej skutki okazały się w proskrybowaniu mistrzów literatury na rzecz różnych tuzinkowo-literackich proletarjuszów, ba, nawet pornografów! Do tego tematu powrócę zresztą jeszcze w jednym z najbliższych tomów tego wydawnictwa.

Zresztą, bynajmniej nie pochwalaliśmy i nie pochwalamy wszystkiego, co każdy pomajowy minister robił lub robi, a zwłaszcza wszystkiego, co robią różne obecne prowincjonalne władze administracyjne, szkolne i t. d. Nie jesteśmy partją, któraby — jak u was — ślepo wszystko wielbiła, co się dzieje w jej obozie lub w popieranym przez nią rządzie. Czyż „Nasza Przyszłość“ nie szczędzi słów prawdy przedewszystkiem zwolennikom swego własnego, konserwatywnego obozu? Proszę przejrzeć szereg naszych artykułów, poczynając od pierwszego (kwietniowego) tomu, aż po zamieszczony w obecnym lapidarny artykuł ks. Radziwiłła! Podobnie nie wahamy się nieraz w prasie codziennej i gdzieindziej wystąpić stanowczo przeciw wszystkiemu, co w postępowaniu władz, zdaniem naszem, zasługuje na krytykę. Konserwatyzm, gdy nawet coś lub kogoś popiera, nie stosuje systemu adoracji, ale sypie śmiało prawdę komu należy.

Porównanie idei państwowości polskiej, czyli idei mocarstwowej, z międzynarodówką socjalistyczną, jest chyba tak naciągnięte, że nie wymaga wyjaśnienia. Powiem tylko jedno: za naszą ideą mocarstwową stoi wielowiekowa tradycja Polski w granicach przedrozbiorowych, podczas gdy narodowa demokracja upiera się przy małem państewku etnograficznem, popierając nadto faktycznie i jawnie międzynarodówkę socjalistyczną z Daszyńskim na czele! Przypominam także prawdziwy szał, jaki ogarnął narodo-

wych demokratów w okresie ratyfikacji pokoju ryskiego, aby tylko nie dopuścić do przesunięcia nieco na wschód granic Polski, na co bolszewicy gotowi byli się zgodzić! Sami śmiali się potem z naiwności naszych demokratycznych dyplomatów! Dlatego słusznie nazwano obóz narodowy. „pomniejszycielem Ojczyzny“!

Wreszcie, co do wspomnianych ofiar krwi Pańskich krewnych w walkach o niepodległość, to lepiej nie tykać tego tematu w naszej dyskusji politycznej, są to bowiem rzeczy wielkie i święte, które wznoszą się same ponad wszelkie argumenty polityczne. Dlatego także nie znoszę wprowadzania religji na arenę polityczną, gdyż na niej autorytet religji w każdym wypadku traci. Ale skoro wywołuje Pan sam pamięć tych ofiar, to stwierdzam tylko, że wspomniani najbliżsi krewni Pańscy szeregują się w każdym razie po stronie zbrojnego czynu, po stronie walki bohaterskiej, a nie po stronie wygodnej bierności i opozycji wewnętrzno-krajowej, jaką uprawia narodowa demokracja stale od lat trzydziestu!

R. Omawiana broszura występuje przeciwko „narodowej demokracji“ i zarzuca jej obniżanie poziomu społeczeństwa, jakkolwiek stronnictwo to, w zupełnem zrozumieniu celu, dokonało wielkiej rzeczy w czasach, gdy była wprost koniecznością. Zapomina się natomiast o tych warstwach, które w r. 1905 w Warszawie, w czasie t. zw. rewolucji, gdy który z członków narodowej demokracji rozwinął na ulicy orła białego, nakazywały usuwać ten znak narodowy z okrzykiem: „Precz z białą gęsią“! Epigonowie tych właśnie usuwaczy „białej gęsi“ usunęli potem koronę naszemu orłu białemu. Te same właśnie warstwy, w czasie owej rewolucji rozrzucające ulotki, domagające się po wschodniemu „swobody ludu polskiego“ (widocznie nie znając polskiego wyrażenia „wolność“), urządzały owe strzelaniny do warszawskich policjantów, przeważnie Polaków i sprowadziły ową masakrę spokojnego ludu, wychodzącego właśnie z kościoła Wszystkich Świętych. Na-

turalnie, sami ci prowokatorzy ulotnili się szybko i bezpiecznie przez „zgóry upatrzone drogi odwrotu“, t. j. przez kościół i zakrystję. Oto „czcigodni bohaterowie“, na których cześć w roku bieżącym, jako w 25-letnią rocznicę owej masakry, obchodziły sfery rządzące wielką uroczystość, nie wahając się nawet ściągać na nią osoby P. Prezydenta Rzeczypospolitej!

B. Rzecz wiadoma i uznana, że narodowa demokracja, pod przewodnictwem w tym wypadku Romana Dmowskiego (który pozatem stracił znacznie na wpływie), tworzy oddawna specjalną „historję Polski“, dostosowaną i ponaginaną do swego partyjnego programu. W historji tej, po macoszemu obchodzącej się z prawdą, wykręca się, a nawet przewraca do góry nogami rzeczywistość, o ile to pp. historykom endeckim ex post jest na rękę.

Dlatego identyfikujecie różnych chuliganów, bundowców i podniecony̨ch przez rząd rosyjski bandytów, którzy w 1905 r. krzyczeli „precz z białą gęsią!“, a potem głosowali na osławionego Jagiełłę i tworzyli bandy zbójeckie, rabujące majątki prywatne — z prawdziwymi niepodległościowcami, walczącymi istotnie z rządem i policją. To jedno. A powtóre skarżycie się, że prowokacja niepodległościowców sprowadziła masakrę ludu, wychodzącego z kościoła, przez policję i wojsko rosyjskie. A jak było w roku 1861, kto „sprowokował“ jeszcze gorszą masakrę na Krakowskiem Przedmieściu? Agitatorzy - patrjoci! A kto „sprowokował“ rzeź Pragi? Kościuszko swem powstaniem! Bo, Szanowny Panie, gdzie drwa rąbią o ojczyznę, tam gdzieniegdzie i ze spokojnych spacerowiczów trzaski lecą! To nieuchronna konieczność wojny. Wiem, że wolelibyście w takich okazjach być nietykalni i spokojnie zazałatwiać swe interesy. Wszak w czasie wojny światowej jeden z mych dobrych znajomych, ziemianin z Kongresówki o sympatjach endeckich, człowiek w sile wieku, skarżył się przedemną gorżko, że ta nieznośna wojna nie dozwala

mu spokojnie żytka i kartofelków hodować, a może nawet — o, zgrozo! — zmusi go do szeregów!!

Tak to, Panowie szlachta-narodowcy, pojmujecie historję i jesteście buńczuczni w czasie zapewnionego pokoju, ale gdy przyjdzie co do czego, to potępiacie z oburzeniem wszelkie „naruszenie spokoju publicznego“ i rozczulacie się nawet nad losem rosyjskiego policjanta, jak to Pan uczynił przed chwilą! Mieszacie skwapliwie pewne porywy niepodległościowców w roku 1905, może niepotrzebne i przedwczesne, ale, bądź co bądź, ideowe, z równoczesnymi wybrykami bojówek bezwyznaniowej międzynarodówki i napadami bandytów, korzystających zawsze z każdego zamieszania. Dopiero, gdy się przypadkiem jakaś odważna patrjotyczna akcja innym powiedzie, gdy Polska na niej zyska, wówczas występujecie z emfatycznym patosem, ba, ubieracie się nawet w jakieś eleganckie mundury i eskontujecie cały zysk dla siebie. Stara to taktyka, znana i uznana!

Oczywiście, nie wynika z tego, żebyśmy, konserwatyści, mieli pochwalać zarówno zasady, jak zwłaszcza metody akcji i walki u b. niepodległościowców. Nie potrzebuję tłumaczyć, że nie mamy zamiaru gloryfikować spisków, strzałów, bomb i różnych, w takich konspiracjach praktykowanych „porachunków“ osobistych. Potępialiśmy, jako wyznawcy legalizmu, ładu i porządku, zasadniczo wszelkie konspiracje i ich następstwa, zarówno w r. 1863, jak i w roku 1905 i następnych. Niemniej jednak, gdy w obu tych wypadkach patrjotyczne elementy postępowe wywołały mniej lub więcej ogólny zbrojny ruch narodowy przeciw zaborcy, to, mimo poprzednich zastrzeżeń co do metod konspiracji, gwałtów i demonstracji, wobec przemocy wroga w dodatku bezsilnych, nie uważaliśmy za godne poczucia narodowego tym faktom dokonanym zbrojnego powstania się przeciwstawić, ale przeciwnie — właśnie w imię godności narodowej — poparliśmy je w odpowiednim momencie tak osobiście, jak i całym naszym wpływem.

W roku 1863 poparliśmy w ten sposób czynnie i otwarcie „czerwonych“ powstańców, w r. 1914 socjalizujących niepodległościowców i legjonistów. Nie zważając na to, że radykalna demokracja styczniowa lub socjalizująca demokracja legjonowa może, w razie zwycięstwa, stworzyć w Polsce ustrój, najbardziej dla materjalnych interesów konserwatyzmu niepomyślny, poparliśmy jednak oba te szalone — w ówczesnych warunkach — porywy w sposób zdecydowany, nietylko przeciw Rosji, ale i znacznej części polskiego społeczeństwa.

Ta właśnie nasza taktyka opierania się najpierw ze wszystkich sił polityce „szalonych porywów“, ale potem — skoro już wybuchną pod hasłem niepodległości czy odrodzenia państwa — popieranie ich z niemniejszym wysiłkiem i bez szukania przytem jakiejkolwiek hipoteki dla naszych własnych interesów, ta taktyka — powtarzam — jest dla narodowej demokracji zupełnie niezrozumiałą i wywołuje oskarżanie nas o oportunizm, naiwność lub służalstwo. A jednak wyjaśnienie jest bardzo proste. Wasz obóz narodowy lubi bowiem (i lubiał zawsze) bawić się w konspiracje, demonstracje, śpiewki i chorągiewki, czego z duszy nienawidzimy. Ale nie umiał i niechciał nigdy — w chwli naprawdę decydującej — iść na zagrożony posterunek i walczyć na nim, choćby na zatracenie, dla idei ojczystej! Dlatego niema nas nigdy w konspiracjach, ale dlatego nie brak nas nigdy w patrjotycznym ruchu zbrojnym, mniejsza o to, przez kogo wznieconym, ani w żadnem dziele naprawy, mniejsza o to, przez kogo podjętem. Wszak wiadomo Panu może, że taki przeciwnik narodowej demokracji, jakim jest mój ojciec, nie zawahał się ani na chwilę stanąć do pracy nad pierwszym projektem konstytucji na wezwanie nawet Paderwskiego, chociaż wiedział zgóry, że projekt, opracowany przez konserwatystę, będzie wrzucony do kosza *) i chociaż zdawał sobie dobrze sprawę, że na tej

*) Co się też stało.

współpracy z endekami i radykałami gnębiony przez nich wówczas konserwatyzm polski nic nie skorzysta.

Ale wy, Panowie narodowcy, takiej bezinteresownej pracy dla idei i dla ojczyzny, pracy bez hipoteki zysku partyjnego, zupełnie nie rozumiecie. I dlatego nie jesteście w stanie pojąć, dlaczego my nie żądamy od obecnego rządu odpowiednich gwarancji dla siebie. Nie żądamy, bo nie targujemy się z państwem o własny interes!

A zresztą, skoro poparliśmy „czerwonych", skoro poparliśmy brygadjera-socjalistę Piłsudskiego, ruszającego w bój na zatracenie z garstką ludzi, poparliśmy przeciw Rosji i komendom obu armij centralnych, jak i przeciw opinji całej Ententy, sprzymierzonej wówczas z Moskalem — to tem mniej chyba możemy mieć zastrzeżeń w zdecydowanem poparciu marszałka Piłsudskiego, zwłaszcza po rozgromieniu przezeń radykałów z Centrolewu!!

Tego Panowie oczywiście nie jesteście w stanie zrozumieć, bo szukacie przed każdem waszem pociągnięciem najprzód bezpiecznej hipoteki tak, aby w każdej sytuacji paść zawsze „na cztery nogi".

R. Z podziwem jesteśmy dla stronnictwa zachowawczego, że z taką zimną krwią przechodzi ponad tem wszystkiem, co wyżej nadmieniłem. Ale czy my, narodowcy, ziemianie, możemy nagle uwierzyć w ów zapowiedziany „zwrot na prawo", niby głoszony przez min. Sławka, ale bez żadnego innego potwierdzenia, bardziej silnego i odpowiedzialnego za cały kierunek polityki państwowej? Czyż te wszystkie, wyżej opisane czyny, których prawdziwemu przedstawieniu nikt nic zarzucić nie może...

B. Właśnie, że w imię prawdy stwierdzam stanowczo błędne ich przedstawienie!

R. ...a które w swej doktrynie socjalno-demokratycznej wiją się — jak nić czerwona — w ciągu całej, tak niedawnej, naszej nowej samodzielności państwowej, te ataki na Kościół Katolicki...

B. Nie na Kościół Katolicki, bo jego z miarodajnych szeregów naszego obozu naprawy ustroju nikt nie atakuje, ale na specjalny partyjny „katolicyzm" narodowej demokracji!

R. ...próby laicyzacji małżeństw i przeforsowania zarządzeń antyreligijnych, np. ustawy o rozwodach, leżącej w portfelu ministra wyznań i oświaty i czekającej tylko sposobnej chwili na jej oddanie sejmowi do zatwierdzenia...

B. *Może* Pan być pewien, że projekty takie, o ileby weszły na porządek dzienny, w co nie wierzę, spotkają się z najgwałtowniejszym oporem z naszej strony i to nietylko ze strony posłów konserwatystów, ale ze strony całej naszej prasy, bez względu na to, kto odważy się takie projekty wysunąć. Natomiast, na podstawie całego dotychczasowego doświadczenia, jestem prawie pewien, że narorodowa demokracja znajdzie w tym wypadku jakieś kruczki i wybiegi, aby się za temi projektami wypowiedzieć, byle tylko nie głosować wspólnie z nami!

Czy chce się Pan założyć? Bo, nie mieszając się wcale do polityki parlamentarnej, konstatuję jednak na uboczu, iż wystarczy, że konserwatyści głosują za Bogiem, aby natychmiast obóz „narodowy i katolicki" wynalazł sobie powód do głosowania za djabłem. Tak było dotąd zawsze, wszędzie i bez wyjątku. Nawet, gdy chodziło przy poprzednich wyborach o unieważnienie listy bolszewickiej w Warszawie. Wystarczyło, że wyszła w tym kierunku z ogólnego obozu sanacji pewna cicha inicjatywa, aby dwa arcykatolickie stronnictwa, endecja i chadecja, głosowały natychmiast w komisji wyborczej (czynnie lub wstrzymaniem się od głosu) za utrzymaniem tej listy w imię doktryny „demokratycznej wolności przekonań".

R. ...te popierania odszczepieńców wiary katolickiej, jak hodurowców, marjawitów i kościoła narodowego, jak również wszelkich mniejszości narodowych i t. p., mają nam mówić, że „od dzisiaj wszystko już będzie dobrze"?

B. W rządzie obecnym, jak dzisiaj niestety na całym świecie — nie wyłączając oczywiście szerszych szeregów narodowej demokracji — są poszczególne jednostki areligijne, które odnoszą się do spraw wiary z obojętnością lub nawet niechęcią. Nie żyjemy w czasach inkwizycji, aby ich do wiary gwałtem przekonać. Ale nie może Pan zaprzeczyć, że marsz. Piłsudski, w bezpośredniem porozumieniu z Rzymem, nietylko zaprowadza pokój religijny na miejsce waszych ustawicznych jątrzeń i wyborczych „wypraw krzyżowych", ale nawet dopiero pod jego rządami zabrały się administracja i sądy nasze do likwidowania sekt, przez Pana wymienionych, o czem dawny blok współpracy endecko-chłopsko-socjalistycznej wcale nie myślał. Dlaczego nie wytoczyliście procesu marjawitom za waszych rządów, kiedy mieliście na to siedem lat czasu? Dlaczego nikt z was nie wpadł na myśl obsadzenia stanowiska wice-ministra wyznań przez księdza katolickiego, doktora św. Teologji? Jeżeli kto, to wy, Panowie narodowcy, nie macie prawa uczyć nas religji, bo nie myśleliście o niej realnie w czasie długoletnich rządów waszych!

Prawda, że — według naszych konserwatywnych pojęć — obecne rządy i sądy nazbyt długo formalizują się z tymi sekciarzami. Ale kto wie, czy nie mają racji, bo tworzenie „męczenników za wiarę" nie przyczynia się nigdy do upadku danego wyznania!

R. Dalej, niema prawie jednego kroku, jednego rozporządzenia rządów pomajowych, w których nie uwydatniałaby się, jak w lustrze, doktryna etatyzacji, zatem t. zw. socjalizmu państwowego, pragnącego objąć, zabić i wessać w siebie całą produkcję i obrót produktami, aby nam potem, może po kolektywizacji gospodarstw wiejskich, dać stan taki, jakiego próbę widzimy dziś u naszego wschodniego sąsiada. Czyż my, Polacy, będziemy zawsze tacy naiwni i na skutek nieszczerych, bo bardzo przesadzonych i zupełnie niespodziewanych pochwał dawnej szlachty, wypowiedzianych ze strony min. Sławka, których czynniki odpo-

wiedzialne za politykę państwową zawsze wyprzeć się mogą, będziemy dawali nasze poparcie akcji, w którą żadnej wiary nie mamy i mieć nie możemy?

B. Najpierw i tak jej nie popieracie, panowie narodowcy, więc nie rozumiem pytania. Powtóre, gdyby się Piłsudski wyparł kierunku, zapowiedzianego przez Sławka w mowie radomskiej wobec tysięcznych tłumów i ogłoszonej dosłownie w gazetach, to wyparłby się całego swego dzieła i musiałby chyba stanąć na czele centrolewu! A, przyzna Pan, że jakoś dotąd wcale się na to nie zanosi! Znowu mianuje Pan Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników bolszewikami, mającymi naśladować kolektywizację. Znowu chce Pan zapomnieć, kto naruszenie prawa własności uchwalił. Faktem jest, że gdybyście wy, narodowcy, dotąd rządzili, to mielibyśmy już kolektywizację nietylko ziemi, ale i domów, a może i fabryk. Wszak szło wszystko najlepiej w tym kierunku. Wprawdzie i za rządów Piłsudskiego ten i ów naiwny radykał-zapaleniec występował raz poraz z jakimś socjalizującym projektem, ale różnica jest ta, że mu zaraz usta zamknięto i żaden z tych projektów nie doszedł do skutku, podczas gdy za waszych rządów wyrastały kolejno antykapitalistyczne ustawy na wzór sowieckich, jak grzyby po deszczu. To fakt!

A co do etatyzmu, to stwierdzam, jako pilny obserwator zjawisk ekonomicznych, że ciągnie się on nieprzerwaną linją od początku powstania Polski, wywołany głównie dyletancką gospodarką narodowej demokracji i socjalistów, równocześnie inflacją i ogólnym kryzysem gospodarczym, a znacznie później dopiero propagowany chwilowo przez grupkę ekonomistów z pod znaku t. zw. czwartej brygady, i pewnych ministrów, wobec których stanęliśmy jednak odrazu w bardzo zdecydowanej opozycji, potwierdzonej wnet potem przez życie. To też pierwszy rozmach tych ostatnich etatystów przed dwoma laty stanowczo się załamał, a jeżeli dziś jeszcze etatyzm gospodarczy w Polsce istnieje, to już głównie tylko z powodu ogólnego upadku cen, braku

pieniędzy prywatnych i światowego kryzysu. Ale jakże to możecie żądać podniesienia cen i rentowności gospodarstw, skoro oponujecie przeciw piłsudczykom w tej akcji, jak to Pan wyraźnie przed chwilą powiedział, zarzucając im, że myślą „tylko“ o podniesieniu cen produktów rolniczych?!

R. Streszczając się, my ziemianie, poprostu Polacy, narodowcy, bez żadnych innych nazw dodatkowych...

B. Przepraszam, ma Pan prawo przemawiać tylko w imieniu cząstki ziemian i Polaków, zapisanych do partji narodowo-demokratycznej. I jeszcze raz proszę błędną nomenklaturą pojęć nie mieszać, gdyż Polakami i zwolennikami polskiej idei narodowej (bez cudzysłowów i dodatków) jesteśmy wszyscy. Tylko, że większość społeczeństwa polskiego protestuje stanowczo przeciwko monopolizowaniu polskości w firmie i w rękach jednej partji politycznej, kierowanej notabene u góry nie wyłącznie przez stuprocentowych Polaków!

R. ...możemy oświadczyć, że nie wierzymy zupełnie, aby rząd dzisiejszy, stojący pod kierunkiem marsz. J. Piłsudskiego, socjalisty, obchodzący uroczyście smutne i tragiczne dla Polaków występy bojówki P. P. S. w Warszawie w r. 1905, jako walki o wyzwolenie Polski, człowieka, który zainicjował socjalistyczno-demokratyczne rządy w Polsce, ciągnące się, z małemi odchyleniami przed majem 1926 r. w kierunku prawicowym (rząd Paderewskiego) lub ludowcowym (rząd Witosa), aż po dzień dzisiejszy, człowieka, który jeszcze tak niedawno polecił, czy pozwolił, na wywieszenie czerwonego sztandaru na zamku królewskim w Warszawie...

B. Ale sprawił, że pięć stronnictw radykalnyego centrolewu, wzywającego niedawno w Krakowie pomocy zagranicy przeciw Polsce, które stanowiły za waszych rządów przeszło połowę sejmu polskiego i wywieszały nie czerwone sztandary, ale czerwone ustawy, niszczące państwo i dorobek jego kultury — zredukował do liczebnie

nieszkodliwej garstki posłów, których wy oczywiście ze wszystkich sił poprzecie, chociaż w gazetach pisać będziecie czasem co innego.

R. ...który polecił, czy pozwolił na, chociażby czasowe, odjęcie naszemu prastaremu herbowi państwowemu korony i którego rządy, dziś nawet ze znacznie większym, niż przed „majem“ naciskiem, przeprowadzają socjalizację produkcji i obrotu...

B. Ja widzę, że jednak z coraz mniejszym. Prawda, że wielkiej tu jeszcze trzeba sanacji stosunków, ale trudno wymagać w obecnym okresie lat chudych na całym świecie, aby rząd, nawet ultrakapitalistyczny, mógł naprawić za jednym zamachem to wszystko, co nabroiła endecja na spółkę z chłopami i socjalistami w ciągu siedmiu lat swej ustawodawczej twórczości! Stwierdzam tylko fakt, że dzisiaj każdy spokojny inteligent mniej czuje się proskrybowany przez rząd, sejm i społeczeństwo, niż za waszych czasów, gdzie różni Kwapińscy i Walerony grozili jawnie „wyrżnięciem“ wszystkich burżujów i spaleniem ich folwarków!

R. ...nie mówiąc o ostatnich posunięciach w kierunku oddziaływania siłą na ostatnie wybory...

B. Na które obóz narodowy chyba skarżyć się nie może, bo podwoił niemal liczbę swych mandatów!

R. ...i uwięzieniu ludzi o innych przekonaniach politycznych...

B. Z czego Pan, jako ziemianin-hodowca, więcej się nawet odemnie cieszyć powinien!

R. ... słowem: nie wierzymy, żeby rząd marsz. Piłsudskiego był zdolny wyprowadzić nawę państwową na spokojniejsze wody, nie mówiąc już o całkowitym nawrocie „na prawo“, czem się stronnictwo zachowawcze tak przedwcześnie łudzi.

B. Znowu typowo „narodowy“ system szukania hipoteki! Czy rząd Piłsudskiego spełni ostatecznie swe obietnice, czy „wyprowadzi nawę państwową na spokojniejsze

wody", tego nie wiemy, bo nie posiadamy jeszcze daru odgadywania przyszłości. Czekamy z sądem naszym na fakta. Nie możemy też odpowiadać za to, co nie leży w naszej mocy. Odpowiadać za rządy państwa może tylko ten, kto ma władzę w ręku. My jej nie mamy i dlatego nie my, konserwatyści, odpowiadać możemy przed historją za to, co się dzisiaj w kraju dzieje lub co się jutro stanie. To jasne i nie wymaga komentarzy.

Ale jeżeli nie od nas zależą decyzje, to z tego jeszcze wcale dla nas nie wynika, żeby ich z założonemi rękoma wyczekiwać, albo zwalczać z zasady wszystko, nawet dobre i twórcze, co rząd polski robi. Przecież gdyby rząd „narodowy", czy nawet ludowcowo-radykalny zrobił lub choćby tylko zamierzył coś pożytecznego, to ani przez myślby nam nie przeszło zwalczać to i oponować! Tembardziej nie mamy powodu bawić się w „wierzę lub nie wierzę" wobec człowieka, który wyraźnie wezwał nas do pracy państwowej. Dlatego robimy i pomagamy, nie tracąc czasu na przepowiednie i sentymenty. A jeżeli Piłsudski socjalista, jak go nazywacie, mówi i robi od szeregu lat w Polsce coś wprost przeciwnego kanonom socjalistycznym, to powinniście się tylko cieszyć z tego, zamiast niedowierzać mu z tytułu, że był ongiś członkiem P. P. S. Czyż niejeden z waszych, a nawet z naszych czołowych dzisiaj ludzi, nie był w młodości radykałem?

R. Wobec tej naszej głębokiej, bo na faktach opartej niewiary. . . .

B. Chyba na faktach waszego wspólnego głosowania z wyznawcami Daszyńskiego, Kiernika i Witosa!

R. . . . .jednanie sobie narodowego odłamu ziemiaństwa przez obóz zachowawczy staje się zupełnie bezowocne.

B. Wiem o tem już oddawna i pod tym względem w żadnym razie się nie łudzę. Tylko zdaje mi się, że coś Panowie narodowcy zanadto koło nas zabiegacie! Czyżby. . . .? Laschiate ogni speranza!

R. Przeciwnie, ciż sami ziemianie gorąco nawołują, póki czas, całe stronnictwo zachowawcze do wejrzenia w istotę rzeczy, co je na pewno wtedy skłoni do zjednoczenia się z nami, narodowcami, których wszystko z wami łączy, a jedynie oddziela to dziwne zaślepienie i niezrozumienie gry, jaka się koło nas odgrywa.

B. Grand merçi! Wolimy „sfinksowość“ Piłsudskiego, coraz bardziej coprawda dewualowaną, niż wasze jawne i otwarte popieranie obozu Marxa za wszelką cenę. Wolimy — dajmy na to — stracić w następnym sejmie wszystkie mandaty i usunąć się z areny politycznej znowu na dłuższy szereg lat, jak to już raz byliśmy przez was usunięci, niż popierać politykę i taktykę waszą, od której, mimo pewnych pozorów, przepaść nas dzieli, dzieli w każdym szczególe, słowie, myśli, pociągnięciu, a nawet guście.

Widział Pan nieraz zapewne dwie gwiazdy na niebie, z pozoru bliźniacze. Ale jest to tylko złudzenie powierzchownej perspektywy ludzkiego oka, gdyż w rzeczywistości dzieli je nieraz olbrzymia przestrzeń i znaczna różnica wielkości i składu chemicznego. Oto wierny obraz perspektywy naszej pozornej wspólnoty!

Wam, ludziom partji, chodzi o mandaty i osobę Marszałka. W walce o mandaty za wszelką cenę, nawet za cenę sojuszu z Daszyńskim i w walce z Marszałkiem również za wszelką cenę, nawet za cenę konieczności państwowych, widzicie jedyny wasz cel polityczny i zarazem jedyną między nami różnicę. Dla nas, jako wyznawców przedewszystkiem pewnego światopoglądu (bo organizacja partyjna wobec naszej liczebnej szczupłości leży zawsze na drugim planie), kwestja sympatji lub antypatji, wiary lub niewiary do poszczególnych osób nie gra żadnej roli zasadniczej. Nam chodzi tylko o możność pozytywnej pracy dla państwa. Korzystamy z każdej w tym kierunku okazji, nie kalkulując zgóry, ile procent rezultatu ta praca przyniesie. To pewna, że lepiej jest dla państwa, iż w szerokim wachlarzu grup współpracy z rządem jesteśmy

w dość pokaźnej liczbie na prawem jego skrzydle, niż gdyby nas tam wcale nie było, albo gdybyśmy złączyli się z wami dla opozycji. Jeżeli narodowcy tych elementarnych założeń naszych i tych faktów nie pojmują, to nie pozostaje mi nic innego, jak powtórzyć słowa, wypowiedziane niegdyś do socjalistów przez ś. p. prof. Jaworskiego na pewnem pamiętnem posiedzeniu w r. 1914 w Krakowie: „Nie rozumiemy się, Panowie!“.

I mam wrażenie, że nie zrozumiemy się nigdy, póki endecja pozostanie endecją w jakiejkolwiekbądź formie!

R. My, ziemianie-narodowcy, szukamy nie słów, nie obiecanek dwuznacznych i to ze strony osób, za kierunek państwa nieodpowiedzialnych. . . .

B. . . . . ? !

R. . . . .ale czynów namacalnych i nic więcej.

B. Oto czyny: Polskie legjony, załagodzenie rewolucji w r. 1918/19, odparcie bolszewików (którzy i bez wyprawy kijowskiej byliby do nas wtargnęli!), złamanie demagogji, inicjatywa dzieła gruntownej naprawy, rozbicie socjalizmu, opanowanie kas chorych, wielka pożyczka zagraniczna i stabilizacja złotego, zgniecenie stronnictw radykalnych i pewne zatamowanie bolszewizującej progresji w ustawodawstwie. Uczuciowo dodam, że i regeneracja pewnych wznioślejszych, ponadpartyjnych wskazań narodowych i mocarstwowych, których nie słyszeliśmy nigdy z ust waszych! Nie mogę także pominąć dość wyraźnego zaangażowania się rządów pomajowych wobec nas przez wizytę Marszałka w Nieświeżu, a płk. Sławka w Dzikowie. To przecież także o czemś świadczy i do czegoś obowiązuje!

R. A osób, których cała taktyka polega na „zaskakiwaniach“ i na „rozgrywkach“, stosowanych względem rodaków. . . .

B. Które rozwichrzone demagogją społeczeństwo stopniowo, a prawdopodobnie bardzo zbawiennie transformują, doprowadzając je zwolna do legalnego uchwalenia

sobie niezbędnych reform ustroju, bez uciekania się do środków przemocy, jak w wielu innych państwach!

R. ....jakgdyby to była partyzantka względem wroga, osób, nieliczących się z tem, że zajmując najpocześniejsze miejsca w narodzie i wystawione na widok całej Europy i świata, winny powściągliwością w mowie i czynach okazać całe z ich strony uszanowanie dla tego stanowiska, jakie zajmują i dla społeczeństwa, które im te stanowiska nadało....

B. Dajmy pokój Europie i światu, który trzeźwiej sądzi sprawy polityczne od naszych narodowców i mierzy je na rezultaty i siłę władzy w każdem państwie, a nie na gładkie lub szorstkie frazesy, w które zresztą obfituje dziś niestety prawie cały ten świat i prawie cała Europa!

R. ....obawiamy się jak ognia i do popierania tych osób nikt nas nie namówi!

B. A któż was namawia? Nic mi o tem dotąd nie wiadomo!

R. Bez widocznych objawów, że w kierownictwie nawą państwową istotnie zarzucono — oby raz na zawsze! — owe socjalistyczno-demokratyczne doktryny i ćwieki....

B. Brawo! Nietylko w kierownictwie państwa, ale i w poważnych, narodowych, katolickich, ziemiańskich i gospodarczych stronnictwach, dotąd poddanych ślepo komendzie radykalizmu polityczno-społecznego!

R. ....prowadzące naszą ojczyznę na bezdroża i do niewątpliwego znowu upadku....

B. Zgoda, bez zastrzeżeń! Sojusz niektórych zamożnych sfer ziemiańskich i gospodarczych z radykalnem stronnictwem endeckiem i centrolewem doprowadzi ojczyznę niewątpliwie do upadku!

R. ....że nareszcie zaczęto szanować konstytucję i prawo....

B. Poszanowania radykalnej konstytucji z jej absurdalną ordynacją wyborczą nie można ludziom gwałtem na-

rzucić. Konstytucja musi być taka, aby treścią swą sama zjednała sobie respekt i posłuszeństwo. A co do praw, to o ile ma Pan na myśli narzucone społeczeństwu przez warcholską sejmokrację ustawy, wprowadzające ustrój półsocjalistyczny, to niech Pan wie, że tylko przemoc władzy administracyjnej wymusza ich wykonywanie. Dla takich bowiem „praw", jak generalne, przymusowe wywłaszczenie, nigdy nie będziemy mieli szacunku. Wy, ziemianie narodowcy, pogodziliście się widocznie z takiem ustawodawstwem, my nie przestaniemy z niem walczyć, choćby nas wyzuto z ostatniego kawałka ziemi!

R. ....szanować konstytucję i prawo, które, jak wszystkie dzieła ludzkie, mogą nie być doskonałe, ale tylko prawnie, zatem z wolą całego narodu, t. j. jego większości, przewidzianej w pierwotnych ustawach, mogą być zmieniane....

B. A jeżeli radykalnie nastrojona „wola większości narodu", uosobiona — na podstawie bezkrytycznego sześcioprzymiotnikowego głosowania — w większości sejmowej elementów radykalnych, ciemnych, wywrotowych, a nawet wprost antypaństwowych, nie zgodzi się na zmianę owych „niedoskonałości", o których Pan wspomina, a które — tego Pan mi z pewnością nie zaprzeczy! — rujnują państwo i demokratyzują społeczeństwo? Czy wówczas poddacie się Panowie ziemianie-narodowcy tołstojowskiej zasadzie „niesprzeciwiania się złemu"? Albo jakież wyjście wówczas proponujecie?

R. ....że uszanowano inne, może odmienne przekonania, chociażby dotyczące zmiany ustroju państwowego....

B. Na to obóz narodowy skarżyć się chyba nie może. Wszak Piłsudski dopuścił niemal podwojenie waszych mandatów, chociaż — między nami mówiąc — mógł zrobić inaczej. To pewna, że my, konserwatyści, nie moglibyśmy nigdy liczyć na podobnie rycerski gest z waszej strony, choćby nie stała między nami kwestja osoby Pił-

sudskiego. Jestem absolutnie pewien, że będąc u władzy, poparlibyście raczej najradykalniejsze kandydatury, byle nie dopuścić do sejmu konserwatystów, chociaż — jak Pan twierdzi — niby nic innego nas nie dzieli, jak rzekomo tylko kwestja wiary w Piłsudskiego!

R. ....że tych zmian nie zamierza się przeprowadzić siłą, ale lojalnie, prawodawczo....

B. Niestety, tak robi właśnie Piłsudski i dlatego — dla jego idei przeprowadzenia jednak przez sejm legalnie zmiany ustroju — cierpimy wszyscy od lat czterech. I jeżeli będziecie mu w tem dalej przeszkadzać, to obawiam się, że cierpieć będziemy jeszcze dłużej. A co najgorsze, pogłębiać się będzie niewątpliwie kryzys gospodarczy!

R. ....że dozwolono raz na zawsze każdemu mówić i pisać w sprawach ogólno-państwowych, bez dzisiejszego kneblowania ust, o ile znowu nie namawia się do „występowania na ulicę", który to argument często właśnie stosowali socjaliści....

B. A któż Panu, czy komukolwiek, każe „występować na ulicę"? Kto siedzi spokojnie w domu, a unika zbiegowisk gawiedzi, temu nic się z pewnością nie stanie. A co do „wolności prasy", to niechże Panowie ziemianie-narodowcy pierwsi będą zadowoleni, że zatamowano w ostatnich czasach nieco tę bezgraniczną, oszczerstwem, jadem i nienawiścią przepojoną demagogję różnych bolszewizujących gryzipiórków, którzy rzucali się w pierwszym rzędzie na was, panowie ziemianie, jako na „obszarników, żyjących krwią i potem ludu, wsteczników, burżujów, zasługujących na gniew i srogi sąd warstw pracujących"! Już jeżeli kto, to ziemianie nie powinni nawet odzywać się w obronie przywrócenia „integralnej wolności pióra i języka".

R. ....my, ziemianie narodowcy, nie damy się złudzić żadnemi obiecankami i nie potwierdzimy przysłowia: Mądry Polak po szkodzie!

B. Dlaczego nie powiedzieliście sobie tego Panowie osiem lat temu, po pakcie lanckorońskim, gdzie was narodowa demokracja przetargowała, jak towar, wiecznie chciwemu na cudzą własność chłopstwu? I dlaczego nie wierzycie „obiecankom“ Piłsudskiego, który składa dowód rozbicia socjalizmu i radykalizmu, a wierzycie z prawdziwie dziecięcą ufnością wszelkim obiecankom i sztuczkom endecji, chociaż po tak dotkliwych z jej strony dowodach fałszu powinniście panowie rzeczywiście już zmądrzeć „jak Polak po szkodzie“?

R. Przekonania moje nie są bynajmniej „demokratyczne“ w tym duchu, w jakim to zwykle ten wyraz bywa traktowany. . . .

B. A więc nie w duchu „równania wdół“, lecz w duchu „równania ku górze“. Dlaczego więc polemizuje Pan z min. Sławkiem?

R. . . . .gdyż, jako przyrodnik-hodowca, tylko drogą ścisłej selekcji i celowego krzyżowania widzę postępy w pogłowiach roślin, przezemnie hodowanych. Drogą „demokracji“ doszedłbym tylko do zupełnego zniszczenia pracy mojej, cieszącej się już wybitnymi wynikami.

B. Świetnie! Oboma rękami podpisuję tę rozumną taktykę! Więc Szanowny Pan jest zwolennikiem metody selekcji przeciwko metodzie demokratyzacji! Ale osiągając tą, jedynie racjonalną metodą, pomyślne wyniki, oczywiście przy pomocy jakiegoś ogrodnika, czy straciłby Pan do niego wiarę, dowiedziawszy się, że należał on kiedyś, przed laty, do polskiej partji socjalistycznej? Jestem pewien, że niewieleby Pana ta wiadomość obchodziła!

Jeżeli więc zjawił się w odrodzonej Polsce były socjalista, który — naprzekór podstawowym zasadom swej dawnej partji — dąży do zaprowadzenia w państwie pewnego momentu selekcji i „równania społeczeństwa ku górze“, to jasnem jest, że wszyscy zwolennicy selekcji powinni mu w tem dopomóc! Inaczej dowiodą tylko, mimo

wszelkich swych wzniosłych argumentów, że są w rzeczywistości zwolennikami proletaryzacji społecznej!

R. Oświadczam Panu, że jakkolwiek rad jestem z tej dyskusji pisemnej na łamach „Naszej Przyszłości“, to jednak na mnie, osobiście, żadnego ona wpływu mieć nie będzie!

B. Wiedziałem o tem zgóry. Jeżeli zgodziłem się na przeprowadzenie tej dyskusji z Szanownym Panem na łamach konserwatywnego wydawnictwa, to przedewszystkiem dlatego, aby wykazać wszystkim ad oculos, że narodowa demokracja jest stronnictwem bezwarunkowo nieprzejednanem i że wszelkie z nią dyskusje argumentowane żadnego nie mają celu. Było to potrzebne, gdyż spotykam w naszych szeregach niekiedy ludzi, którzy oddają się pod tym względem złudzeniom. Są to najczęściej ludzie z b. Kongresówki, gdzie narodowa demokracja — wobec wzrastającego ucisku moskiewskiego — odgrywała przez szereg lat wzniosłą rolę obrońcy polskości, przy której wszelkie inne jej cechy, nawskroś ujemne, pozostawały w cieniu. Pamięć tej roli endeckiej zaciemnia dziś jeszcze niejednemu jasny pogląd na istotny charakter tego w gruncie rzeczy społecznie radykalnego, a więc lewicowego stronnictwa, które w b. Galicji, gdzie nie było zaborczego ucisku, całkiem inną, nawskroś radykalnie demokratyczną, zawsze wichrzącą i nie zawsze katolicką odgrywało rolę.

Dlatego my, członkowie konserwatywnej szkoły krakowskiej, daleko lepiej znamy prawdziwy charakter narodowej demokracji i żaden nowy zwrot z jej strony, nawet — gdyby to nieprawdopodobieństwo miało nastąpić — szukanie przez nią „ścieżki do Belwederu“, ani o włos nie zmieni naszego na nią poglądu. Może przyszłość i takie salto mortale jej chwilowo podyktuje — nie pierwsze i zapewne nie ostatnie. Niechże wówczas łudzą się inni, mniej doświadczeni. My żadnych złudzeń nie mamy i mieć nie będziemy!

NIEMCY I ROSJA — A POLSKA I FRANCJA.

O grożącem nam niebezpieczeństwie między żelaznemi kleszczami byłych naszych zaborców, czyhających na ponowną naszą zagładę, o konieczności przełamania tego niebezpieczeństwa zawczasu, tak drogą rozbijania porozumienia niemiecko-rosyjskiego przez wciąganie Niemiec, w ten czy inny sposób, do współdziałania państw europejskich w obronie najwyższych dóbr cywilizacji i kultury przed zalewem barbarzyństwa, jak i drogą rozbudowy regjonalnych bloków państw, współzainteresowanych w utrzymaniu pokoju i ładu społeczno-gospodarczego, zdawaliśmy nieraz naszym czytelnikom sprawę w całym szeregu artykułów. Znakomite i wysoce autorytatywne potwierdzenie naszych tez i obaw znajdujemy w ostatniej pracy generała Władysława Sikorskiego p. t. „Polska i Francja w przeszłości i dobie współczesnej".

Autor, b. premier i minister spraw wojskowych, osobisty przyjaciel generała Weyganda i cieszący się szczególnymi względami ś. p. marszałka Focha, którego pamięci pracę tę poświęcił, jest niewątpliwie jednym z najlepszych znawców polityki francuskiej z jednej, a zbrojeń wojennych Niemiec i Sowietów z drugiej strony. W pracy swojej poddaje on m. in. szczegółowej analizie stan zbrojeń obu naszych sąsiadów, nie pozostawiając żadnej wątpliwości tak co do istotnej wartości bojowej obu omawianych armji, jak i co do gotowości ich do niezwłocznej mobilizacji ogromnych sił ludzkich i technicznych, urągających wszelkim frazesom o rozbrojeniu i pacyfiźmie. Poniżej zaś podajemy uwagi autora, poświęcone samemu współdziałaniu sowiecko-niemieckiemu.

„Polityczno-wojskowe współdziałanie Prus i Rosji sięga XVII wieku, t. j. pierwszego aljansu, zwróconego przeciw Polsce i Szwecji, który car Aleksiejew Michajłowicz zawarł z elektorem pruskim Fryderykiem Wilhelmem I. Dokonany wspólnie w drugiej połowie XVIII wieku rozbiór Polski zespolił ściśle Berlin z Petersburgiem. Węzły te wzmocnił wybuch wielkiej rewolucji, w czasie której Katarzyna II była duszą, a król pruski jednym z szefów przeciwfrancuskiej koalicji. Okres wojen napoleońskich, tak tragiczny dla Prus, nie zniszczył tej przyjaźni, mimo „tylżyckiej zdrady" cara Aleksandra I-go. O jej podtrzymanie w okresie najcięższym starał się skutecznie na dworze piotrogrodzkim baron Stein, wygnany przez Napoleona z Niemiec. Liczni zaś oficerowie i podoficerowie pruscy, którzy się zaciągnęli tłumnie po 1806 roku do armji rosyjskiej, pracowali usilnie nad podniesieniem jej sprawności bojowej. To też w kampanji 1813 roku, której Stein był współtwórcą, wyszkolona przez oficerów niemieckich armja rosyjska niepoślednią odegrała rolę. Czasy Świętego Przymierza, którego ostoją były Prusy i Rosja, wydarzenia 1830, 1840 i 1848 roku, era Bismarcka, jego wojny zwycięskie z Austrją, a później z Francją, prowadzone przy stałem i pewnem oparciu o carską Rosję, na tyle wzmocniły rosyjsko-pruskie węzły, że nie zdołał ich unicestwić aljans, zawarty przez Rosję z Francją w 1892 roku. Proniemieckie wpływy w Piotrogradzie przyczyniły się też w niemałym stopniu do znanego nam połowicznego wystąpienia Rosji w 1914 roku przeciw armji niemieckiej.

„Obalenie dworu carskiego i rozbicie rządzącej Rosją kamaryli, co nastąpiło z końcem wielkiej wojny, powinno było zadać cios tej przyjaźni, która nie była przyjaźnią narodów, lecz polegała na węzłach, łączących rodzinę Romanowych z niemieckimi domami książęcymi i na wyższej biurokracji rosyjskiej, wśród której poważną rolę odgrywali oddawna Niemcy.

„Tak się nie stało. U wstępu nowej Rosji zaznaczyło

się znowuż stare współdziałanie rosyjsko-niemieckie. Lenin i Trocki przybyli do Rosji z pomocą Ludendorffa. Wystąpili oni przeciw marcowej deklaracji rządu prowizorycznego z 1917 roku, opowiadającej się za kontynuowaniem wojny i podjęli gwałtowną propagandę za pokojem odrębnym z Niemcami, zawartym następnie w Brześciu. Tajemnicę ich nadzwyczajnego powodzenia tłumaczy, poza zmęczeniem wojną narodu rosyjskiego, wydatne poparcie ze strony Niemców, udzielone im w kraju i w armji rosyjskiej, wzamian za rozbicie jedności koalicji.

„Przegrana 1918 roku zbliżyła Rzeszę do Rosji. Pchnęła ją na tę drogę w sposób zdecydowany prawica niemiecka, odsuwając od siebie wizję niepewnego jutra, pozostając pod wpływem zaprzyjaźnionej Międzynarodówki komunistycznej, a uznając jedynie dzień dzisiejszy. A ten zapowiedział jej, wzorem napoleońskiego okresu, możliwość zbliżenia upragnionej chwili, w której można będzie zrzucić więzy, nałożone Niemcom przez znienawidzony Traktat Wersalski i wziąć odwet na Francji jedynie i wyłącznie w przymierzu z Rosją sowiecką.

„Oficjalną i obowiązującą na zewnątrz podstawą współdziałania Niemiec powojennych i bolszewickiej Rosji jest pakt, podpisany 16-go kwietnia 1922 roku w Rapallo przez obustronnych pełnomocników, uzupełniony następnie dodatkowymi układami. Pakt ten zawiera zrzeczenie się Rosji wszelkich pretensji do reparacji szkód, spowodowanych przez wojska niemieckie w czasie wojny, oraz drugostronne zrzeczenie się imieniem niemieckiego państwa, jak i niemieckich poddanych, mieszkających w Rosji, naprawy szkód, spowodowanych przez przewrót bolszewicki. Decyduje on również o natychmiastowem podjęciu wzajemnych stosunków dyplomatycznych i konsularnych przez obydwa państwa, zapowiadając specjalną w tej sprawie umowę.

„Traktat ten posiadał dla Rosji bolszewickiej olbrzymie znaczenie przedewszystkiem dlatego, że przerywał

pierścień izolacji politycznej i moralnej, jakim świat otoczył republikę komunistyczną. Po zawarciu tego układu nawiązano wzajemne stosunki dyplomatyczne i ekonomiczne z obydwu stron. Cziczerin uzasadnił publicznie ten układ jedynie względami ekonomicznej natury, Ludendorff natomiast stwierdził brutalnie, lecz otwarcie, że traktat ten służyć będzie odwetowi.

— Całą swą wiedzę i całą swą osobę rzucę na szalę, by dowieść, że traktat w Rapallo zapoczątkował nową erę tak dla niemieckiego, jak i dla rosyjskiego narodu, a przez to nietylko dla Europy, ale i dla świata całego — mówił o tym „ekonomicznym" układzie główny jego twórca, hr. Brockdorff - Rantzau, przy wręczaniu swych listów uwierzytelniających, jako ambasador niemiecki w Moskwie.

„Jest rzeczą obojętną, czy istnieje pisana umowa tajna, uzupełniająca ogłoszony tekst oficjalny porozumienia z 1922 roku. Faktem jest, że w praktyce zarysowuje się od tego czasu tak ścisła współpraca na terenie wojskowym obydwu rządów i obydwóch armji, że zastąpić ona może w całości formalny sojusz wojskowy.

„Układ w Rapallo rozszerzono w 1926 roku, kiedy to locarneńskie porozumienie znaleść musiało, zdaniem niemieckich dyplomatów, korelatyw na wschodzie. Dnia 24-go kwietnia tegoż roku podpisano w Berlinie traktat przyjaźni, gwarantujący Rosji i Niemcom neutralność wzajemną, w razie zaatakowania któregokolwiek z kontrahentów przez stronę trzecią i w razie prób zorganizowania przeciw jednemu z nich bojkotu ekonomicznego lub finansowego.

„Ważniejszem jednak od tych układów jest, jak już zauważyliśmy, życie, które wykazuje stałe współdziałanie Reichswehry z robotniczo - włościańską armją. Pracował też na tem polu po wojnie, zmarły niedawno w Chinach pułkownik sztabu Bauer, prawa ręka Ludendorffa w czasie wojny, który pozostawał przez dłuższy czas w Rosji. Jej ostoją byli liczni oficerowie i podoficerowie

cesarscy, którzy już od 1918 roku współpracowali z rządem Sowietów nad odbudową sowieckiej siły zbrojnej. Od czasu zbliżenia się Rzeszy do Rosji sowieckiej oficerowie ci pracują nad podniesieniem sprawności armji czerwonej i nad militaryzacją rosyjskiego społeczeństwa pod poufnem kierownictwem Reichswehrministerium. Ich liczbę uzupełniają w razie niezbędnej potrzeby oficerowie służby czynnej, „urlopowani“ z szeregów na czas pobytu w Rosji, względnie prowadzeni na liście „zaginionych“, jak to wykazała ostatnia głośna afera porucznika lotnictwa Amlingera. Oficerów niemieckich zatem odnajdujemy w pułkach i sztabach, na stanowiskach instruktorów i sztabowych oficerów, na których zastąpili oni częściowo dawnych specjalistów rosyjskich. Wielu z nich służy w lotnictwie sowieckiem pod postacią ekspertów wojennych. W wielu wypadkach, jak to ma miejsce w fabryce płatowców w Woronežu, względnie w fabrykach wodnopłatowców w Leningradzie i Odessie, zajmują oni stanowiska kierujące.

„Liczne niemieckie misje wojskowe i wojskowo-techniczne współdziałają od szeregu lat z władzami sowieckiemi w odbudowie bolszewickiego przemysłu wojennego i chemicznego. Znaczna ilość inżynierów i chemików niemieckch pełni służbę w sowieckim instytucie chemicznym.

„Ważną rolę w niemiecko-bolszewickich stosunkach wojskowych odegrał dłuższy pobyt generała v. Seeckta w Moskwie w 1923 r. Przyczynił się on widocznie do ostatecznego ustalenia systemu wojskowego Rosji sowieckiej i definitywnej organizacji robotniczo-włościańskiej armji, przypominającej w niezwykle łudzący sposób znane poglądy twórcy Reichswehry na przyszłą wojnę i racjonalne przygotowania do niej.

„W bolszewickiej doktrynie wojennej, poza jej klasowemi cechami, odnajdujemy nadto główne elementy niemieckiej doktryny, która przez szybkość działań i nowoczesną technikę zamierza poszukiwać zwycięstwa na polu bitwy. Rozbieżność między teorją a praktyką, właściwa

systemowi bolszewickiemu, nie pozwoliła kierownictwu wojskowemu obecnej Rosji wcielić w całości tych zasad w życie. Są one jednak w armji wysokiego pogotowia, a szczególnie w kawalerji i lotnictwie sowieckiem, na tyle wyraźne, że podkreślają zdecydowanie wspólne źródło obydwu doktryn wojennych.

„Wpływ niemieckich poglądów na taktykę rosyjskiej armji ustala się nietylko w regulaminach, ale w całej literaturze fachowej, począwszy od 1922 roku, kiedy to ogłoszono nowe regulaminy niemieckie. Znalazło to swój wyraz w nowem wydaniu regulaminów sowieckich z 1927 roku. Co więcej, pomysły niemieckie są natychmiast zastosowywane w regulaminach bolszewickich, co wywołuje wrażenie, jak gdyby Reichswehra, skrępowana u siebie, traktowała Rosję jako wielkie pole doświadczalne w dziedzinie przygotowań niemieckich do wojny. Jednym z ważniejszych przykładów tej polityki jest adoptowanie poglądów niemieckich na temat użycia artylerji dywizyjnej, jako artylerji bezpośredniego wsparcia, w regulaminie służby polowej artylerji rosyjskiej z 1926/27 roku. Obydwie armje, niemiecka i rosyjska, nie mają przed sobą tajemnic. W Berlinie obowiązki rosyjskiego attaché wojskowego pełni znany nam z pochodu na Warszawę w 1920 roku dowódca trzeciej armji sowieckiej, tow. Kork. Ma on dostęp wyjątkowo łatwy do oddziałów i ćwiczeń Reichswehry, w których bierze udział niejednokrotnie w towarzystwie oficerów bolszewickich. Jeden z tych gości, wybitny oficer-komunista, szef wywiadu rosyjskiego frontu zachodniego, ogłosił w Moskwie, po kilkotygodniowym pobycie w Niemczech, rewelacyjny artykuł na temat tajnych zbrojeń niemieckich, skonfiskowany na żądanie ambasady niemieckiej (porównaj art. M. Riabinina, ogłoszony w piśmie „Ogoniok“, nr. 40).

„Odwrotnie, na terenie rosyjskim przebywają często wyżsi wojskowi niemieccy. W roku 1929 bawił tam czas dłuższy generał Blomberg wraz z czterema wyższymi ofi-

cerami niemieckiego Truppenamtu (Sztab Generalny). Interesował się on szczególnie organizacją frontu zachodniego, jego umocnieniami, uzupełnionemi ostatnio pod kierownictwem oficerów niemieckich. Stać to może w łączności nietylko z jego działalnością, jako byłego szefa sztabu Naczelnego Dowództwa Reichswehry, ale i z obecną, jako dowódcy 1 dywizji Reichswehry w Królewcu.

„Dzisiejszy szef sztabu Reichswehry zresztą nie omieszkał również zapoznać się szczegółowo, tuż po objęciu swego stanowiska, ze stanem wojsk sojusznika Rzeszy. Następca gen. Blomberga, generał Hammerstein, przebywał wraz z szefem wywiadu, ppłk. Kühlentalem, przez kilka tygodni jesienią 1929 roku w Rosji sowieckiej i brał udział w manewrach armji czerwonej pod Żytomierzem.

„Wizyta ta nabrałaby specjalnego znaczenia, gdyby istotnie zastąpiono obecnego wodza Reichswehry, generała Heye, ustosunkowującego się krytycznie do ryzykanckich pomysłów niemieckiego współdziałania wojennego z sowiecką armją czerwoną, właśnie przez generała Hammersteina, jako ich gorącego zwolennika.

„Wiadomości o tego rodzaju odwiedzinach przedostają się dość trudnq na światło dzienne. A jednak nawet ta ich część, która przedziera się na zewnątrz, wskazuje na jaknajściślejszy i stały kontakt wojskowy obydwu armji.

„Rosyjsko-niemieckie porozumienie obejmuje także sprawy morskie. Wskazuje na to wyraźnie dokonane ostatnio przeniesienie podstawy niemieckiej floty wojennej z Wilhelmshafen do Kilonji, wraz ze sztabem marynarki wojennej i równoczesne „sforsowanie Dardaneli“ przez krążowniki sowieckie „Paryskaja Komuna“ i „Profintern“, przerzucone pod pozorem konieczności naprawy tych okrętów w porcie odeskim na morze Czarne. W ten sposób Rosja i Niemcy przystosowywują swe siły morskie do przyszłych działań wojennych. Flota niemiecka dominować będzie odtąd niepodzielnie na Bałtyku, zwrócona frontem przeciw Polsce, rosyjska zaś, wzmocniwszy się na morzu Czarnem,

szachować będzie jeszcze silniej, aniżeli dotychczas, Rumunję.

„Przytoczone fakty ilustrują częściowo tylko współdziałanie Rzeszy z Rosją sowiecką na polu wojskowem. Współdziałanie polityczne i ekonomiczne obydwu państw, podtrzymywane ze strony Niemiec mimo gorżkich, a nawet upokarzających doświadczeń, pomimo deficytowego dla Niemiec rezultatu wzajemnych stosunków handlowych, jest powszechnie znane. Oczywiście, że tak Niemcy, jak bolszewicy nie są w tej polityce szczerzy. I jedni i drudzy asekurują się zresztą i na drugą stronę. Bolszewicy przygotowują przewrót komunistyczny w Niemczech, a Reichswehra pracuje również w ścisłym kontakcie z monarchistami rosyjskimi, przyczem Berlin, Gdańsk, Monachjum są głównymi ośrodkami rosyjskiego ruchu monarchistycznego. Znajdują się nawet poważni emigranci rosyjscy, którzy wierzą, że obecne porozumienie niemiecko-rosyjskie jest pozorne. Że umożliwi ono Reichswehrze, posiadającej ich zdaniem potężne wpływy w armji czerwonej, opanowanie wewnętrznej sytuacji w Rosji w momencie, uznanym przez Niemcy za stosowny do tego celu. Czy jednak Niemcy nie łudzą się tak, jak się łudzili popierając czynnie Lenina i Trockiego, przeciw którym napróżno usiłowali zorganizować następnie w 1918 roku pierwszą „wyprawę krzyżową“? Następstwa wewnętrzne tego rodzaju polityki, do których należy, między innemi, 3.200.000 głosów, oddanych na kandydatów komunistycznych w Niemczech przy ostatnich wyborach do parlamentu (przypominam, że do partji komunistycznej, rządzącej Rosją, należy 2.000.000 członków) i powtarzające się sporadyczne walki z doskonale zorganizowanemi i uzbrojonemi bojówkami komunistycznemi, to sprawa wewnętrzna Rzeszy.

„Polskę jednak interesować muszą żywo niemiecko-bolszewickie związki, gdyż położeni pomiędzy Niemcami i Rosją, narażeni będziemy w pierwszym rzędzie na skutki tej obłędnej polityki. Świat zaś cały interesują one, gdyż

popierany przez Niemcy i rezydujący dzisiaj na Kremlu rząd, który okazał się mistrzowski w niszczeniu, a zawodny w konstrukcji, posiada, jak wiemy, daleko sięgające zamiary światoburcze.

„Już dzisiaj znajdują one mocną i zatrważającą podstawę w zagadkowej politycznie Reichswehrze oraz w hołdujących „polityce katastrof“ stronnictwach niemieckich, które, przy pośredniej pomocy Kominternu, odniosły w tegorocznych wyborach do parlamentu Rzeszy tak znamienne zwycięstwo“.

W końcu apeluje autor do Francji, by miała się na baczności, wierząc w jej lojalność sojuszniczą względem Polski, opartą zresztą, zdawałoby się, o dobrze zrozumiany interes własny. Sojusz Polski z Francją, jako podstawa pokoju europejskiego i utrzymania w mocy traktatów pokojowych, jest właściwą treścią książki. Autor uzasadnia w obszernych wywodach dziejowe podłoże tego sojuszu, tożsamość zasadniczych interesów obu państw i konieczność wystrzegania się błędów przeszłości, kiedy zapoznanie wspólności interesów zawsze powodowało nieobliczalne szkody dla obu stron. Autor, daleki od jakiejkolwiek ślepej admiracji dla wszystkiego, co francuskie, mocno podkreśla ustawicznie mocarstwowe posłannictwo Polski, samodzielną jej rolę dziejową na wschodzie i w środku Europy, konieczność opierania się przedewszystkiem o własne jej siły, tak pod względem ustroju państwa, jak i obrony narodowej; kurtuazyjnie, acz niemniej otwarcie, wytyka on Francji wszystkie jej błędy przeszłości względem Polski, które zawsze na niej się pomściły, oraz ze smutkiem wspomina tragizm sytuacji Polaków w wojnie światowej, kiedy nasz wysiłek niepodległościowy musiał początkowo iść mimo Francji, ówczesnej sojuszniczki odwiecznego naszego wroga od wschodu. Rozbudowa sojuszu polsko-francuskiego wymaga jednak przedewszystkiem rewizji t. zw. „Locarna“, czyli oparcia bezpieczeństwa Europy o różniczko-

wanie pomiędzy mocniejszemi gwarancjami dla granic niemiecko-francuskich, a słabemi gwarancjami dla granic polsko-niemieckich. Słusznie uważa autor, że utrzymanie w mocy takiego zróżniczkowania musi rozzuchwalić Niemców i pielęgnować ich iluzje o możliwości „pokojowej rewizji granic“.

Miło nam stwierdzić, że Francja nie pozostała dłużną odpowiedzi na apel Gen. Sikorskiego. Tak parlament francuski, jak i olbrzymia sala Wagram stały się widowniami imponujących manifestacji na rzecz wierności sojuszniczej Francji dla Polski. P. Franklin-Bouillon w natchnionych słowach uznał Wisłę za moralną granicę Francji, której dotknąć nikomu nie wolno, ślepy inwalida, bohater Scapini, zdemaskował w porywającem przemówieniu rozbiorowe machinacje krzyżackie i komunistyczne, hr. de Sainte Aulaire z oburzeniem odparł wszelkie przypuszczenia o możliwości zawodu ze strony Francji względem najświętszych jej obowiązków sojuszniczych, p. Marin zaznaczył z żalem, że niektórzy politycy francuscy są stronnikami polityki ustępstw na rzecz Niemiec, która, prowadzona od szeregu lat, doprowadziła do groźnej sytuacji obecnej. Wystarczy poddać się raz jeszcze groźbie szantażu, ażeby wejść na drogę, która wiedzie do katastrofy.

„Znam takiego męża stanu — powiedział Ludwik Marin — który dn. 31 lipca 1914 r. zapewniał na oficjalnem zebraniu, że wojna jest niemożliwa, że Niemcy nie popełnią nigdy tego szaleństwa, a tymczasem w dwa dni później rozpoczęto pierwsze działania wojenne“. Oświadczenie to wywołało na sali burzliwe manifestacje przeciwko obecnemu ministrowi spraw zagranicznych Francji. Nawet Herriot oświadczył się kategorycznie przeciwko wszelkiemu okupieniu pokoju koncesjami rewizyjnemi na rzecz Niemiec, a socjalista Paul Boncour przestrzegł przed rozbrojeniem, zanim Niemcy nie dadzą gwarancji bezwzględnego przestrzegania pokoju i przyjętych zobowiązań traktatowych. Cała prawie prasa francuska stanęła zgodnie na stanowisku

wierności sojuszniczej i odparcia niemieckich żądań rewizji terytorjalnego statutu powojennej Europy bez zgody zainteresowanych. Znany fantasta p. Hervé, wydawca „Victoire“ i kilka szmat rewolwerowych, kierowanych przez skrajnych socjalistów i radykałów w rodzaju p. p. Bluma i Cot‘a, pozostali odosobnieni, narażając się na poparty dowodami zarzut ze strony znanego polityka i publicysty Kerrilisa, że biorą za to niemieckie pieniądze. Ukazał się również szereg prac, potwierdzających wszystkie dane, ujawnione przez gen. Sikorskiego, co do grożącego Europie niebezpieczeństwa. Stwierdzić możemy zatem z zadowoleniem, że za oficjalną Francją, reprezentowaną przez p. p. Tardieu i Brianda, których enuncjacje urzędowe nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do bezwzględnej wierności sojuszniczej Francji, stoi ogromna większość francuskiej opinji publicznej. Francuz jest niewątpliwie, jak uważa znakomity publicysta angielski Wickham Steed, zarówno w swojej naturze ugodowym pacyfistą, gdzie tylko może sobie na to pozwalać, jak święcie przekonanym o konieczności zapewnienia za wszelką cenę bezpieczeństwa Francji. Niemasz zaś bezpieczeństwa Francji bez bezpieczeństwa Polski.

Niemniej wspomniane rewelacje o grożącem nam niebezpieczeństwie z obu stron „żelaznych kleszczy“ powinny być dla nas poważnem memento. Musimy przedewszystkiem polegać na własnych siłach. Inercją, kłótniami i targowicą nie zwyciężymy rozpętanych żywiołów. Caveant consules....!

A. R.

PERSPEKTYWY BANKOWOŚCI PRYWATNEJ.

Zdrowa bankowość jest jednym z najważniejszych czynników normalnego współczesnego życia gospodarczego. Trudno sobie wyobrazić proces wytwarzania i wymiany dóbr bez należytego funkcjonowania aparatu kredytowego, bez wypełniania różnorodnych, a tak skomplikowanych funkcji, jakie dziś aparat bankowy wypełniać powinien.

Im bardziej życie gospodarcze staje się złożonem, tem różnorodniejszą staje się działalność banków.

Muszą być one przedewszystkiem zbiornikiem wolnych środków, szukających chwilowo lokaty, pośrednikiem, załatwiającym na rachunek swej klijenteli różnorodne polecenia, zakup papierów, przekazywanie różnych sum, dokonywanie wypłat i t. d.

Muszą banki być źródłem kredytu, zasilającego wytwórczość i handel, pośrednikiem w operacjach długoterminowego kredytu, lokując wśród klijenteli, a niekiedy nabywając na własny rachunek, papiery o stałem oprocentowaniu, pośredniczyć w zdobywaniu kapitału inwestycyjnego dla przemysłu, dla samorządów, poszukujących kredytów i t. d.

Banki spełniały przed wojną i inne jeszcze doniosłe zadania. Torowały one przemysłowi rodzimemu nowe drogi, dopomagały do zdobywania nowych rynków zbytu. Wiemy, jaką rolę odegrała przed wojną bankowość niemiecka dla ekspansji gospodarczej Rzeszy.

Banki były pionierami, tworząc we wszystkich niemal krajach oddziały. Handel niemiecki znajdował w nich nietylko wiernych sprzymierzeńców, gotowych finansować

eksport niemiecki, względnie czynić najdalej idące ułatwienia kredytowe nabywcom niemieckich towarów. Oddziały banków niemieckich były nadto dla rodzimego handlu i przemysłu źródłem dokładnych informacji, dzięki którym handel niemiecki docierał do najodleglejszych zakątków.

Niemniejszą rolę odegrały banki angielskie przy zdobywaniu rynków wschodnich i ekspansji kapitału angielskiego.

Wojna uczyniła w życiu bankowem niektórych krajów wielkie spustoszenia. Normalne operacje ustały, stosunki międzynarodowe zostały przerwane. Szereg wartości został zniszczony, banki zmuszone były wchłaniać pożyczki wojenne, które w następstwie naraziły je na olbrzymie straty.

Szczególnie ciężkich przejść doznały banki w krajach, dotkniętych przez inflację. Spustoszenia, jakie inflacja uczyniła w życiu bankowem, mamy wszyscy zbyt świeżo w pamięci, by się nad niemi rozwodzić należało. Spotęgowane one były w b. zaborze rosyjskim przez straty, poniesione na kapitałach i walorach, pozostałych w Rosji.

Po wszystkich tych przejściach bankowość z wielkim wysiłkiem dźwigać się poczęła. Gdy po reformie walutowej i stworzeniu Banku Polskiego w r. 1924 powoli powracać zaczęło zaufanie, napływały wkłady, bankowość doznała nowego dotkliwego ciosu przez spadek złotego w sierpniu 1925 r.

W Polsce bankowość ucierpiała nietylko pod wpływem czynników materjalnych, sytuację jej utrudniały również czynniki natury ogólnej.

Olbrzymie wstrząśnienia, jakich doznało życie polityczne i gospodarcze wszystkich niemal państw europejskich w pierwszych latach powojennych, sprzyjały rozwojowi skrajnego radykalizmu, do którego przyczyniała się w znacznym stopniu usilna propaganda ze Wschodu.

I nasz kraj przechodził okres radykalizmu, ogarniającego różne dziedziny życia. N a w e t ż y w i o ł y

umiarkowane ulegały tym prądom, widząc w niektórych posunięciach, sprzecznych z podstawowemi zasadami ekonomicznemi, jedyną tamę, mającą chronić Polskę od zalewu piętrzącej się gwałtownie na Wschodzie fali bolszewizmu.

Przeciwko bankowości podjęto szczególnie zaciekłą walkę. Na nią przedewszystkiem skierowano najcięższe pociski demagogicznych frazesów. Walka była łatwą, inflacja bowiem stwarzała pozory olbrzymich zysków. Fantastyczne procenty wydawały się niebywałą lichwą, choć nie były one w stanie pokryć drobnej nawet części strat, jakie powodowała deprecjacja pieniądza. Banki poczytywane były za źródło spekulacji, za pasorzyty, żerujące na organiźmie społecznym, za sprawców wszelkiego zła, które trapiło życie gospodarcze.

Z lekceważeniem przyjmowano głosy, wskazujące, że inflacja podcina byt instytucji kredytowych w stopniu nieporównanie większym, niż w różnych innych dziedzinach życia gospodarczego. Panujące w tym okresie prądy wywarły odpowiedni wpływ na ciała ustawodawcze i czynniki rządzące, a rozporządzenia ówczesne stwarzały dla bankowości prywatnej niezmiernie ciężkie warunki.

Okoliczności te, wraz ze wspomnianym wyżej spadkiem złotego w 1925 r., odbiły się nader niekorzystnie na rozwoju banków prywatnych, których działalność uległa znacznemu ograniczeniu. Tymczasem życie gospodarcze domagało się pomocy kredytowej. Przemysł przeważnie wykorzystał okres inflacji dla dokonania znacznych inwestycji i rozszerzenia swej wytwórczości, ale pozbawiony był niezbędnych środków obrotowych. Tych potrzeb kredytowych nie mogły zaspokoić banki prywatne. Powszechny brak gotówki, oraz nieufność, jaka ogarnęła najszersze koła względem tych banków, sprawiły, że w tym okresie skarb państwa był jedynym posiadaczem płynnych środków. Wzrastające niespodziewanie dość szybko wpływy

podatkowe, przy skromnym jeszcze budżecie ówczesnym, dały w wyniku gromadzenie się poważniejszych nadwyżek.

Życie gospodarcze zaczęło też wywierać duży nacisk na skarb, domagając się pomocy kredytowej, jakiej nie mogła mu dać bankowość prywatna. Skłoniło to Rząd do okazania żądanej pomocy. Uświadamiano sobie istotną potrzebę ożywienia wytwórczości, wykorzystania zarysowującej się już pomyślniejszej konjunktury, zmniejszenia liczby bezrobotnych. W grę weszły tu i inne jeszcze względy, mianowicie zarysowująca się wyraźnie tendencja rozszerzania wpływów państwa na życie gospodarcze.

Tendencja ta uwydatniała się jaskrawo w tworzeniu coraz to nowych przedsiębiorstw państwowych i wykupywania istniejących przedsięwzięć prywatnych. Przekształcono Bank Krajowy na Bank Gospodarstwa Krajowego, rozszerzając znacznie jego zakres działania i dostarczając mu coraz większych środków. Równocześnie też rozszerzono zakres działalności Banku Rolnego, do którego wprowadzono nowe rodzaje operacji.

W okresie 1926 i 27 r. banki państwowe stworzyły też dla bankowości prywatnej silną konkurencję. Zaufanie publiczności do niej było osłabione. Przenoszono wkłady do banków państwowych, za które gwarantował skarb państwa. Gwarancja ta stanowiła w tym okresie wielki przywilej. Banki państwowe mogły były przyjmować wkłady na niski procent, poszły one jednak na stopę procentową, równającą się prawie oprocentowaniu w bankach prywatnych. Było to oczywistą anomalją.

Polityka ta trwała na szczęście dość krótko. Zwyciężyła świadomość, że banki państwowe ograniczyć muszą zakres swych operacji.

Bank Gospodarstwa Krajowego zaniechał udzielania prywatnej własności ziemskiej długoterminowych pożyczek w listach zastawnych, które stwarzały niezdrową konkurencję istniejącym prywatnym towarzystwom kredytowym.

Zaniechała też udzielania prywatnych kredytów Pocztowa Kasa Oszczędności, ograniczając operacje kredytowe do redyskontowania weksli prywatnym instytucjom finansowym, w nader ograniczonych zresztą rozmiarach.

Poprzestajemy na tych krótkich uwagach, dotyczących warunków, w jakich kształtowała się bankowość prywatna i państwowa w ostatniem 10-cioleciu, by zastanowić się nad szansami rozwoju bankowości prywatnej na okres najbliższy. Pytanie to nastręcza się w związku ze spotykanem dość często twierdzeniem, że państwo współczesne, gromadząc znaczne środki i rozszerzając siłą faktu swą ingerencję w życiu gospodarczem, stopniowo ujmie w swoje ręce wszystkie operacje bankowe, nie zostawiając miejsca dla bankowości prywatnej.

Trudno przewidzieć, jak ukształtują się stosunki w latach najbliższych, gdy jesteśmy świadkami dokonywania się tak głębokich zmian w życiu gospodarczem. Wydaje nam się jednak zgoła nieprawdopodobnem, aby istotnie państwo zastąpić mogło prywatną działalność kredytową, a rozwój banków państwowych mógł przybierać takie rozmiary, by prywatne instytucje traciły rację bytu.

Są pewne potrzeby kredytowe, które jedynie państwo zaspokoić może. Do nich należą przedewszystkiem kredyty, mające na celu udzielenie specjalnej pomocy okolicom kraju lub warstwom wytwórczym, dotkniętym klęską elementarną. Są dalej okresy, w których państwo musi w interesie publicznym udzielać pomocy kredytowej pewnym dziedzinom życia, czy przedsięwzięciom, których rozwój leży w interesie państwa. Tak w drugiej połowie XIX-go wieku udzielały państwa wydatnej pomocy przedsiębiorstwom komunikacyjnym, towarzystwom kolejowym i żeglugowym. Forma tej pomocy była nader różnorodna. Pomocy doznawały również niektóre gałęzie przemysłu, związane np. z obroną państwa.

Do takich dziedzin, wymagających czasowej pomocy kredytowej państwa, należy obecnie akcja budowlana, niezbędna w okresie przejściowym, dopóki zgromadzenie w rękach prywatnych pewnych zasobów nie pozwoli na rozwiązanie tej sprawy drogą najbardziej naturalną, gdy oszczędności szukać będą w budowie nieruchomości pewnej i korzystnej lokaty.

Poza temi wyjątkowemi okolicznościami, kredyt, udzielany przez państwo, jest przy ustroju kapitalistycznym anomalją.

W naszych warunkach niezmiernie ograniczoną jest możność zaciągnięcia przez państwo pożyczki, której wpływ byłby obrócony na udzielanie specjalnych kredytów. Źródłem tych kredytów są wyłącznie prawie środki, pochodzące z wpływów podatkowych, a więc zdobyte drogą osłabienia kapitalizacji prywatnej. Przedsiębiorca czy przedsiębiorstwo, obciążone podatkami, ma uszczuploną możność gromadzenia własnych środków obrotowych, zmuszone jest zatem uciekać się do kredytu.

Odbywa się więc tutaj podwójny proces. Państwo zwiększa obciążenie podatkowe, by uzyskać nadwyżki budżetowe, które obraca na pomoc kredytową. Obciążenie to, ogałacając życie gospodarcze z pewnej sumy środków, w kraju tak zubożałym, jak Polska, zwiększa wielką już samą przez się potrzebę kredytu.

Musimy zdawać sobie sprawę, że okres, dzielący chwilę, w której życie gospodarcze musiało wyzbyć się pewnej kwoty, wpłaconej do kas państwowych w formie podatków, od chwili, w której państwo oddaje te kwoty życiu gospodarczemu pod postacią kredytu — trwa długo.

Przez cały czas pozostawania w kasach skarbowych nadwyżek, obracanych następnie na udzielanie kredytów, dalszej ich wędrówki do banków państwowych, oczekiwania tam na decyzję, załatwiania długich i uciążliwych formalności, nadwyżki te są niejako usunięte z obrotu gospodarczego. Nie ulega wątpliwości, że efekt gospodarczy

środków, pozostających w posiadaniu wytwórców, jest niezrównanie większy, niż kiedy środki te odbyć muszą wędrówkę do wielkiego zbiornika państwowego, skąd dopiero dopływając powoli, zasilają życie gospodarcze.

Podstawowym warunkiem pożytku i skuteczności akcji kredytowej jest objektywna ocena zdolności kredytowej, zarówno materjalnej, jak i moralnej, przyszłego dłużnika, celowości zużytkowania kredytu i widoków spłaty w oznaczonym terminie. Ocena taka wymaga niezwykle sprężystego aparatu, nieustannego kontaktu z życiem praktycznem, obserwowania różnych zjawisk, dokładnych informacji o zmianach, dokonywujących się często bardzo szybko. Aparat kredytowy musi być czuły na wszelkie, napozór drobne nawet wahania, posiadać też musi warunek tak ważny w życiu gospodarczem, jakim jest szybkość decyzji i działania.

Warunków tych nie może posiadać instytucja państwowa, z konieczności obciążona szeregiem przepisów i wymagań, nieodzownych w olbrzymiej machinie państwowej.

Objektywność jest wogóle jednym z podstawowych warunków dobrego działania instytucji kredytowej. W prywatnych instytucjach kredytowych objektywność ta cierpieć niekiedy może pod wpływem pierwiastków osobistej natury, nieuniknionych w stosunkach ludzkich. Wpływy te neutralizuje atoli czynnik konkurencji. Klijent, który spotka się w jakiejś instytucji kredytowej z odmową, podyktowaną pobudkami osobistemi, ma otwartą drogę do innych instytucji, w których pierwiastki te nie będą odgrywały roli.

Inaczej rzecz się ma z kredytami państwowymi. Są one zawsze narażone na fluktuacje politycznej natury. Kredyty te, przeważnie udzielane na warunkach dogodniejszych, niż kredyty prywatne, są z natury rzeczy uprzywilejowane, a że suma ich jest zwykle ograniczona, korzystać z nich może tylko drobna część ubiegających się o nie.

Nawet wówczas, gdy momenty polityczne nie są decydującymi przy rozdziale kredytów państwowych — co jest jednak zjawiskiem tak często spotykanem w różnych krajach — uprzywilejowanie grup czy jednostek, związanych z kołami, będącemi u steru, jest nieuniknionem.

To też, poza wspomnianymi wyjątkami, akcję kredytową państwa uważać należy za funkcję tylko czasową i przejściową. Traci ona rację bytu w miarę powrotu życia do normalnego stanu i zdrowej kapitalizacji, będącej naturalnem źródłem kredytu.

Zresztą życie samo reguluje akcję kredytową państwa, opartą na nadwyżkach budżetowych. Nadwyżki te są niekiedy wynikiem wyjątkowo pomyślnej konjunktury, częściej jednak są one objawem wadliwego systemu podatkowego, nadmiernie obciążającego wytwórczość. Gdy wytwórczość słabnie wskutek pogorszenia się konjunktury lub nadmiernego obciążenia podatkowego, zmniejszają się wpływy, a z nimi i nadwyżki budżetowe. Państwo, chcąc utrzymać równowagę budżetową, zmuszone jest ograniczyć lub zaniechać akcji kredytowej. Odczuwają to bezpośrednio banki państwowe, opierające swe operacje na środkach, dostarczanych im przez państwo i zmuszone bezpośrednio ograniczyć swe operacje. Nastręcza im to wówczas bardzo wielkie trudności.

Banki państwowe muszą bowiem zaspakajać potrzeby finansowe także przedsiębiorstw państwowych.

W okresie przesileń przedsiębiorstwa prywatne wytężają wszystkie siły, by ograniczyć do minimum wydatki i jaknajszybciej dostosować rozmiary przedsiębiorstwa do zmienionych wymagań. Położenie przedsiębiorstw państwowych jest o wiele trudniejsze. Nie mogą one działać tak szybko, jak przedsiębiorstwa prywatne i dla względów politycznych zredukowanie rozmiarów takiego przedsięwzięcia wymaga znacznie dłuższego czasu. Pod tym względem sytuacja banków państwowych może być trudniejszą,

niż bankowości prywatnej, proces bowiem przystosowywania się do zmienionej konjunktury trwa dłużej.

W okresach tych nieuniknione są niedobory. Pokrywane one być muszą drogą kredytu, którego przedsiębiorstwom tym dostarczyć muszą banki państwowe.

Okres dotkliwych, jak obecne, przesileń i słabnących wpływów budżetowych jest na czas dłuższy hamulcem dla ekspansji banków państwowych. Pewne potwierdzenie tego zjawiska znajdujemy w cyfrach, ilustrujących działalność banków państwowych.

Bank Gospodarstwa Krajowego.

w dniu 31 grudnia —	1925	1926	1927	1928	1929
	w miljonach złotych				
kapitały własne	37	38	124	156	159
wkłady wszelkich typów	77	218	315	351	255
lokaty Skarbu Państwa		230	284	356	417

Jak widzimy, zwiększenie kapitałów własnych, jak i wzrost wkładów oraz lokat skarbowych przypada na trzechlecie od 1926 do 1928 r., stanowiące okres znacznych nadwyżek budżetowych.

W r. 1929 suma wkładów się zmniejsza, głównie przez wycofanie wkładów instytucji rządowych i samorządowych.

Jeśli mimo to operacje wekslowe w r. 1929 nie uległy zmniejszeniu, to wskutek zwiększonego redyskonta, jak to wykazuje następujące zestawienie:

w dniu 31 grudnia —	1925	1926	1927	1928	1929
	w miljonach złotych				
dyskonto weksli	54	74	136	176	183
redyskonto	27	7	19	39	72

W tymże czasie nastąpiło znaczne zwiększenie kapitałów własnych i lokat Skarbu w Państwowym Banku Rolnym:

	w miljonach złotych			
w dniu 31 grudnia —	1926	1927	1928	1929
kapitały własne	15	79	140	148
lokaty Skarbu	23	63	50	50

Zwiększeniu dyskonta weksli towarzyszył, prócz zwiększenia redyskonta, wzrost wkładów:

	w miljonach złotych			
w dniu 31 grudnia —	1926	1927	1928	1929
dyskonto weksli	17	36	45	70
redyskonto	0.6		4.7	29
wkłady terminowe i czekowe	10.9	34	50	68

W r. b., gdy nadwyżki są b. nieznaczne, nieprawdopodobnem jest dalsze zasilanie banków państwowych przez Skarb.

Ale nietylko względy natury materjalnej zdają się wskazywać na prawdopodobieństwo ograniczania nadmiernego rozwoju banków państwowych.

W poglądach sfer rządowych nastąpiła w ostatnich czasach poważna zmiana. Słyszeliśmy ze strony miarodajnej oświadczenia, że jednem z najważniejszych zadań doby najbliższej jest umożliwienie kapitalizacji, że tendencje etatystyczne są stanowczo zwalczane, a inicjatywa i przedsiębiorczość prywatna liczyć mogą na usilne poparcie. Mamy mocne przekonaine, że nie są to frazesy, ale wyraz istotnej zmiany poglądów. Zdajemy sobie jednak sprawę z trudności wcielenia tych zdrowych i słusznych maksym w życie; wymagać to będzie w każdym razie dłuższego czasu.

W obydwóch tych procesach odgrywa bankowość najważniejszą bodaj rolę. Bez silnej bankowości prywatnej nie można sobie wyobrazić ani normalnego procesu kapitalizacji, ani rozwoju przedsiębiorczości prywatnej.

Mimo wielkie trudności, z jakiemi walczyć musiała bankowość prywatna po przesileniu w 1925 i 1926 r., zdołała ona jednak wejść na drogę powolnego, ale stałego rozwoju, który ilustrują następujące cyfry:

Wkłady wynosiły:

	w miljonach złotych				
w dniu 31 grudnia —	1925	1926	1927	1928	1929
banki akcyjne	260	459	650	832	907
oddziały banków zagranicznych	30	55	79	80	76
razem banki prywatne	290	514	729	912	983
Bank Gospod. Kraj.	77	219	316	351	255
Bank Rolny	5	11	35	54	71
	82	230	351	405	326
Pocztowa Kasa Oszczędności	65	129	200	316	383
kasy oszczędności powiatowe i komunalne	62	94	221	359	446
spółdzielnie kredytowe	36	83	159	221	311

Zamieściliśmy w powyższem zestawieniu wkłady w instytucjach oszczędnościowych jedynie dla zobrazowania całości ruchu wkładów. Nie uwzględniliśmy wkładów w Banku Polskim, jako mającym specjalny charakter.

Jak widzimy, wzrost wkładów w bankach prywatnych był bardzo szybki, wskazując na powracające zaufanie. Mogły przeto banki rozszerzyć operacje aktywne.

Kredyty krótkoterminowe były następujące:

	w miljonach złotych				
w dniu 31 grudnia —	1925	1926	1927	1928	1929
banki akcyjne	362	486	795	1095	1219
oddziały banków zagranicznych	45	55	129	178	194
	407	541	924	1273	1413
Bank Gospodarstwa Krajowego	175	335	236	268	252
Państwowy Bank Rolny	54	103	213	353	468
	229	438	449	621	720

Wynik ten osiągnięty został w niektórych wypadkach przy pomocy udziału kapitału zagranicznego, kosztem poważnych ofiar, które ponieść było trzeba, niemniej jednak uważać należy ten udział za rzecz czasową, która ustąpi w miarę wzmacniania się sił finansowych kraju. Mimo zarysowującego się już w roku 1929 ogólnego przesilenia, sytuacja banków nie uległa pogorszeniu, a płynność ich utrzymywała się stale na zadawalniającym poziomie. Charakterystycznem jest również nieznaczne stosunkowo wykorzystanie przez banki redyskonta w Banku Polskim. Jest to dowodem przezorności i należytego ustosunkowania operacji do posiadanych środków.

Rzecz prosta, że trwające obecnie ciężkie przesilenie rolnicze, niesłychanie niski poziom cen i wzrastające z niepokojącą szybkością zadłużenie rolnictwa wprowadza wysoce niepożądany czynnik, osłabiając proces kapitalizacji, w którym rolnictwo odgrywa poważną rolę.

Dla dalszego rozwoju bankowości niezmiernie ważną jest rzeczą uregulowanie kredytów długoterminowych, ono bowiem dopiero przywrócić może operacjom bankowym należytą płynność i uchronić je od unieruchomień, tak nie-

pożądanych dla instytucji kredytu krótkoterminowego. Lata ostatnie przekonały nas, że nawet w okresach, gdy zdobycie kredytów zagranicznych dla państwa nastręcza wielkie trudności, bankowość prywatna była w stanie zdobyć kredyty na niektóre rodzaje operacji i zasilać w ten sposób życie gospodarcze.

Kredyt prywatny, wolny od wszelkich tendencji ubocznych, od tak zmiennych konjunktur politycznych, stanowi niewątpliwie formę kredytu nieporównanie zdrowszą, bardziej sprężystą i bardziej do realnych podstaw życia przystosowaną, niż kredyty instytucji państwowych, zmuszonych z natury rzeczy uciekać się do bardzo skomplikowanych i zawiłych form tego kredytu. *Dlatego też okres obecnego ciężkiego przesilenia wydaje nam się być okresem, w którym nadmierna ekspansja bankowości państwowej ulec będzie musiała ograniczeniu, a zdrowa bankowość prywatna zajmie w życiu gospodarczem właściwe miejsce.*

Przed bankami państwowymi stoją jednak doniosłe zadania.

Bank Rolny iść będzie nadal w wytkniętym już kierunku dostarczania kredytów długoterminowych na parcelacje, spłaty rodzinne, meljorację, oraz kredytów krótkoterminowych dla całej rozległej dziedziny handlu rolniczego, w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Bank Gospodarstwa Krajowego ma przed sobą, prócz finansowania przedsiębiorstw państwowych, wielki dział kredytów komunalnych, który w niezbyt dalekiej przyszłości będzie ważnym czynnikiem rozwoju.

Charakter P. K. O. jest ściśle określony, a działalność jej skoncentrowana w ułatwieniu obrotu bezgotówkowego, gromadzeniu oszczędności i wprowadzonym ostatnio dziale drobnych ubezpieczeń.

Pozostaje zatem dla bankowości prywatnej obszerne pole działania, na którem oddać może gospodarstwu narodowemu wielkie usługi. Nie wątpimy, że przy umiejętnem ujęciu swych zadań i życzliwej współpracy czynników rządowych bankowość prywatna potrafi należycie spełnić swą rolę.

Antoni Wieniawski.

KLIN KLINEM.

W PERSPEKTYWIE ROZPRAWY Z NIEMCAMI.

„Nie rozumiem, skąd się wzięło u Niemców przekonanie, że są zewsząd osaczeni i niesprawiedliwie traktowani i że cały świat cywilizowany — przy pomocy niecywilizowanego — sprzysiągł się, żeby ich z grona narodów europejskich wykluczyć?... Dopóki nie zniknie u Niemców to uczucie, że niesprawiedliwie z nimi postąpiono, dopóty Europa nie będzie miała bezwzględnie zapewnionego pokoju".

Pamiętniki księżny Pless (Tanz auf dem Vulkan),
Drezno 1930, t. II.

Te dwa zdania zamykają w sobie przedziwnie, w lapidarnym skrócie, główną przyczynę i ostateczny rezultat wojny światowej, rezultat, pod którego obuchem cierpi dotąd świat cały, a w pierwszym rzędzie Polska. Bo istotnie: zmienić nastrój w Niemczech, to znaczy zapewnić długotrwały pokój Europie, a Polsce bezpieczeństwo nietylko od zachodu, ale i od wschodu, zbrojonego przeciw nam przez Niemców. Ale zmienić musiałby się nietylko ich nastrój powojenny, rewanżowy, ale i przedwojenny, zawsze brutalnie zaborczy, który, wzmocniony po przegranej wojnie ideą zemsty, rozwija się dzisiaj monstrualnie zarówno pod egidą dyplomatycznego pseudo-pacyfizmu, jak i wygrażającego pięścią faszystowskiego nacjonalizmu.

Na innem miejscu przedstawia w tym tomie „Naszej Przyszłości" jeden z naszych współpracowników, do jakiego absurdu doszła dzisiaj megalomanja niemiecka [1]). Na-

---

[1]) Patrz dalej art. Adama hr. Romera: „Odkrycie raju czyli furor teutonicus".

próżno szukałbyś podobnego zjawiska w dziejach wszystkich narodów świata. My natomiast konstatujemy tutaj tylko fakt, że państwo niemieckie jest obecnie osią problemu wojny i pokoju, a biegunem tej osi, jest: korytarz pomorski. W nim tkwi zaród przyszłego zarzewia wojny.

A że od opanowania przez Prusy polskiego Pomorza rozpoczęły się ongiś rozbiory Polski, tak i dziś ponowne oddanie go Prusakom zapoczątkowałoby bez żadnej wątpliwości nową epokę rozbiorów — tym razem zapewne już ostatecznych i niepowetowanych.

Wątpię, czy ktokolwiek u nas i zagranicą mógłby tej prawdzie na serjo zaprzeczyć. W każdym razie nikt z Niemców!

Ale najtragiczniejsza strona niebezpieczeństwa niemieckiego leży dla Polski nie w niemieckiej idei zemsty i rewanżu. Tem grożą Niemcy przedewszystkiem ich zachodnim, bezpośrednim zwycięzcom. Polska natomiast w daleko gorszem jest położeniu, bo uczucie nienawiści do niej podsycane jest u Niemców naturalną ich dążnością ekspansywną na wschód, dokąd prze ich, zwłaszcza po stracie kolonji, w znacznym stopniu wprost konieczność dziejowa. Działa tu ta sama przyczyna, która tysiąc lat temu pędziła na tworzącą się Polskę zbrojne zastępy niemieckich markgrafów — ale spotęgowana dziś stokrotnie faktycznem przeludnieniem Niemiec i nadmiarem ich produkcji przemysłowej, duszącej się w okrojonych traktatem wersalskim granicach państwa i grożącej katastrofą bezrobocia w razie przymusowej redukcji.

Pogróżki więc, miotane na Polskę przez rząd i naród niemiecki, nie pochodzą li tylko z uczucia nienawiści, ale z pewnością w równej mierze i z przeświadczenia o pewnej konieczności społecznej i państwowej. Niemcy dzisiejsze — to kocioł, naprężony parą, która szuka elementarnie ujścia w kierunku najmniejszego oporu. I zdaje się Niemcom, że to ujście tylko w kierunku wschodnim jest możliwe; ścianę polską uważają, na podstawie dawnego doświadczenia, za

łatwiejszą do wyłamania, zwłaszcza przy pomocy Sowietów, od południowej czy zachodniej ściany romańskiej.

I tym właśnie argumentem swych organicznych potrzeb żywotnych fascynują Niemcy najbardziej liczne umysły na zachodzie i werbują sobie bezkrytycznych, naiwnych sympatyków nietylko w Anglji, ale nawet we Francji!

Szereg takich naiwnych pisarzy i publicystów francuskich, występujących z zacietrzewieniem przeciw Polsce, na podstawie oczywiście źródeł niemieckich, jest rezultatem tej propagandy.

Dlatego sprawę korytarza pomorskiego wysunęły Niemcy na czoło swych reklamacji politycznych, uczyniły z niej prawdziwe hasło narodowe i zarazem walny taran wszelkich swych intryg, targów i zabiegów na arenie międzynarodowej. Naród niemiecki — obecnie już prawie bez wyjątków — nastraja się coraz głośniej na to hasło, prasa niemiecka brzmi w ten chór także już niemal unisono, wykazując światu ad oculos „absurd rozerwania niemieckiej ojczyzny“, a nawet i rząd wysuwa coraz oficjalniej tę sprawę, słodząc ją coprawda — do czasu — frazesem „pokojowego załatwienia“. A w rezerwie bojowej wysuwa imperjalizm pruski już „odzyskanie rdzennie niemieckiej ziemi wielkopolskiej“, no i postulat bezpośredniego kontaktu z Rosją przez Litwę, Wileńszczyznę, Łotwę i Estonję. Utratę swej niedawnej współwładzy na oceanach z mocarstwami morskiemi usiłuje powetować sobie na razie opanowaniem Bałtyku.

Przeprowadzenie tego planu — z wytrwałością i konsekwencją, właściwą każdej pracy niemieckiej — ułatwiła i ułatwia Niemcom niezmiernie znana „bałkanizująca“ Europę od niepamiętnych czasów polityka angielska. Ona to zatrzymała armję Focha w pochodzie na Berlin, paraliżując zgóry należyte wykorzystanie zwycięstwa, odniesionego kosztem dwudziestu siedmiu miljonów zabitych i inwalidów. Wstrzymała karzącą rękę koalicji dla względów czysto

handlarskich, aby nie osłabiać sobie zanadto niemieckiego rynku zbytu. Sama wykorzystała dla siebie zwycięstwo nad Niemcami w całej pełni, zabierając im flotę wojenną i znaczną część floty handlowej, oraz wszystkie kolonje — w czem właśnie kapitalną popełniła pomyłkę i fatalną oddała usługę Europie, zamykając Niemcom możliwość nieszkodliwej dla sąsiadujących z niemi państw dalekiej kolonizacji nadmiaru ich ludności. W ten sposób pozostawiła Anglja kontynent europejski, pod wpływem upartego, a nienawidzącego Francji i Polski Lloyd George'a, w stanie wzrastającego naprężenia i fermentu, wykorzystując nadto Ligę Narodów jako swe narzędzie.

Kupiecka zachłanność Albionu „umiędzynarodowiła" nadto Gdańsk i Kłajpedę, czyniąc je wiecznemi ogniskami najskrajniejszego niemieckiego fermentu pod swym faktycznym protektoratem. Gdańsk i Kłajpeda — to dziś dwa kantory kolonjalne angielskie, przeznaczone dla jakichś na daleką metę planowanych interesów angielskich na wschodzie. Anglja, godząc się na odbudowanie Polski, nie mogła wytrzymać, aby choć jeden, średnich rozmiarów port nadbałtycki, jakim jest Gdańsk, przypadł Polsce w udziale. „Zbałkanizowała" więc swoim zwyczajem to miasto, pozostawiając w tem miejscu kość niezgody polsko-niemieckiej, którą w istocie ona trzyma w ręku. I wogóle poparcie, jakie znajdują Niemcy w Anglji, pragnącej tym sposobem sparaliżować „supremację" Francji na kontynencie, wzmaga ogromnie czelność i butę imperjalizmu niemieckiego i staje się poważnem niebezpieczeństwem dla Europy. Jestto właśnie jednym przykładem więcej tej angielskiej zasady divide et impera, stosowanej od stu kilkudziesięciu lat względem państw europejskich. Wygrywając je wzajemnie przeciw sobie i osłabiając je krwawemi wojnami, w których staje raz po tej, raz po drugiej stronie, utrzymuje Anglja swój autorytet i faktyczny arbitraż losów Europy. I ten czynnik musimy, traktując problem niemiecki, wziąć bardzo poważnie w rachubę.

Dalszem ułatwieniem jest dla Niemiec niewątpliwie Litwa Kowieńska, dziwny twór „litewskiego szowinizmu niemieckiego autoramentu“. Bo nieprzejednana dotąd, dziecinna wrogość Litwy kowieńskiej względem Polski tłomaczy się jedynie historją jej powstania z wojennego tworu „Oberostu“, którego władzę przekazali ustępujący Niemcy do rąk swych specyficznych kreatur w rodzaju Waldemarasów. I mimo, że od czasu do czasu rząd Litwy kowieńskiej staje „w opozycji“ do Niemiec i uskarża się na różne „krzywdy“ z ich strony, to jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że dzisiejsza Litwa kowieńska jest w dalszym ciągu „Oberostem“, czyli północno-wschodnią marchją zaborczego germanizmu.

A jakże kształtują się bezpośrednie nasze stosunki z państwem niemieckiem? Pomijam sprawę niedawnej wojny celnej, bo takie zmagania zdarzały się i zdarzać się będą nieraz między dwoma państwami. Wszak obecnie i Ameryka wypowiedziała, ściśle biorąc, wojnę celną Europie, co jednak wcale jeszcze nie grozi wojną orężną. Inaczej natomiast traktować trzeba sprawę unormowania stosunków handlowych wogóle, przeciągającą się beznadziejnie od lat kilku między Niemcami a Polską. Tu już, po tylu daremnych wysiłkach, uwieńczonych pozornie nawet obustronnem parafowaniem prowizorycznego traktatu handlowego, zatwierdzonego nawet z ostentacyjną skwapliwością przez parlament niemiecki, a sparaliżowanego zaraz potem przez rząd niemiecki prohibicyjną taryfą celną, stwierdzić możemy kategorycznie, że Niemcy drwią z nas poprostu i grają na zwłokę w przewidywaniu nowego, przynajmniej częściowego podziału naszego „Saisonstaatu“. Bo i poco zaciągać zobowiązania wobec tak niepewnego tworu wersalskiego, jakim w umyśle każdego Niemca jest dzisiaj jeszcze Polska, który to twór niezadługo oczywiście się rozleci, a przynajmniej skurczy do rozmiarów trzeciorzędnego państewka, skoro tylko Niemcy odzyskają z powrotem swe „rdzenne ziemie“, sięgające na wschód poza Toruń, Kalisz

i Częstochowę! W takich warunkach jasną jest rzeczą, że wszelkie układy i wysiłki pokojowego, sąsiedzkiego pożycia z Niemcami muszą pozostać u nas pobożnem życzeniem, a w Niemczech chyba tylko materjałem do pism humorystycznych, albo — co najwięcej — do zawracania w głowie różnym naiwnym fanatykom „złotego wieku pokoju“ w Lidze Narodów. I dlatego także trudno powstrzymać uczucie wielkiego zdziwienia, ilekroć słyszy się u nas oficjalne czy nieoficjalne zwroty o „pokojowości“ polityki polskiej. Brzęczą już one koło uszu jak najnatrętniejsze muchy, stają się wprost nieznośne dla nerwów. Nerwy nasze starczą wprawdzie na dalsze wytrzymywanie wrzasków niemieckiej hakaty czy hitlerówki, ale nie są już w stanie wytrzymać jałowości naszych własnych enuncjacji o „pokojowości Polski“ za wszelką cenę!

Jakże więc zareagować skutecznie na pruską politykę? Chcąc to uczynić i ustalić sobie jakiś racjonalny plan działania, trzeba przedewszystkiem znać dobrze charakter psychiki niemieckiej i do niej ów plan dostosować. Jasną jest przecież rzeczą, że taktyka nasza musi być celowo zróżniczkowana stosownie do każdego z naszych zagranicznych kontrahentów. Inaczej mówić trzeba z Anglikiem, czy Włochem, czy Francuzem, a inaczej z Niemcem czy Moskalem. Stosowanie zdawkowego dyplomatycznego szablonu wobec wszystkich, bez różnicy, może tylko ujemne wydać rezultaty.

Otóż djalektyka pokojowa wobec Niemiec, jaką do dziś dnia w świętej naiwności stosujemy, przypomina żywo ową sławną bajkę o baranku i wilku, spotykających się u źródła. Baranek, drżąc ze strachu, zapewnia wilka, że wcale nie ma zamiaru mącić mu wody. Wilk narzuca mu jednak ten zamiar i „za karę“ go pożera. Podobnie i nasza „pokojowościowa“ djalektyka, uprawiana aż do znużenia na forum międzynarodowem, nie chroni nas wcale przed coraz

głośniejszem oskarżaniem o imperjalizm przez niemieckiego wilka, który ostrzy sobie już zęby na schrupanie miękkiego, kwietystycznego słowiańskiego baranka.

Oczywiście, nie może być mowy o puszczeniu się z naszej strony oficjalnej na jakąś awanturniczą politykę wobec Niemiec. Przeciwnie, wrzaski nacjonalizmu niemieckiego traktować powinien rząd polski z suwerennem lekceważeniem i spokojem. Ale postawa i djalektyka naszego społeczeństwa musi być męska i zdecydowana. Prusak szanuje tylko pięść opancerzoną. Przed nią skłania się i gotów jest do wszelkich układów i kompromisów. Dobroci i łagodności nie uznaje krzyżacka natura, ale *tłomaczy ją sobie zawsze jako słabość przeciwnika, na którego wówczas tembardziej naciera.* Inaczej rozumować ani żyć Niemiec nie potrafi. Długoletnia szkoła Hohenzollernów nauczyła go polityki pięści i kija i z dnia na dzień wpływ tej szkoły zmienić się nie może.

Dlatego też dla naszej nieoficjalnej taktyki wobec Niemiec ustalić możemy sobie tezę, która wyglądałaby paradoksalnie w odniesieniu do innych państw cywilizowanych: że mianowicie *zdecydowana agresywność ze strony naszego społeczeństwa zapewnić nam może dobre z Niemcami stosunki, podczas gdy ugodowość wobec nich grozi nam niechybnie wojną.*

W Niemczech, oprócz zwykłej zaborczości i imperjalizmu germańskiego, grają rolę inne jeszcze momenty. Wszak Niemiec, a zwłaszcza Prusak, uważa się — na serjo — za naród wybrany, któremu Opatrzność powierzyła misję zgermanizowania i przez to uzdrowienia świata. Polityka rządów niemieckich i „naukowa“ niemiecka literatura wbiła w tępe zresztą mózgi Spiessbürgerów niemieckich, że tylko niemiecko-germańska rasa jest czystą, wszystkie

inne zaś bastardami, że tylko niemiecka nauka i kultura są prawdziwym wykwitem cywilizacji, a wszystkie ine chorowite i zgniłe. Stąd też hasło, które każdy Niemiec bierze bardzo na serjo: „Am deutschen Wesen muss die Welt genesen!"

Realizacją tego hasła była cała polityka przedwojenna zjednoczonych Niemiec i wszystkie powojenne ich, nadzwyczaj zręczne i konsekwentne łamańce, których prawdziwym mistrzem był Stresemann, a brutalnym, niezgrabnym żonglerem jest Hitler. Wszystkie one zmierzają do jednego celu: supremacji Niemiec przynajmniej nad kontynentem Europy i „uzdrowienia" jej przez twardą „jedynie prawdziwą" kulturę niemiecką.

W takich warunkach nasza nader subtelna, a przytem prawdziwie słowiańsko-kwietystyczna polityka polska robić musi na Niemcach istotnie wrażenie, że mają do czynienia ze społeczeństwem, niezdolnem do niepodległego bytu. Stąd też wypływają dla polityki naszej, a zwłaszcza dla kształcenia nastrojów w społeczeństwie polskiem, ważne wskazówki.

A więc przedewszystkiem problem polsko-niemiecki traktować należy u nas nie — jak dotychczas — z lokalnego, ale z ogólno-państwowego punktu widzenia. Kwestją obrony przed Niemcami zajmują się dotąd tylko kresy zachodnie — Śląsk, Poznańskie, Pomorze. Już Warszawiaka, a tem mniej Lwowianina czy Wilnianina, problem ten właściwie mało obchodzi. I w tem właśnie błąd kapitalny, bo wszędzie w Polsce, we wszystkich niemal trudnościach narodowościowych i gospodarczych, z jakiemi się spotykamy, czynną jest bezpośrednio lub pośrednio pięść niemiecka. Ona podnieca na Wilno Litwinów, na Lwów Ukraińców, a na całą Polskę — bolszewików. Dlatego specjalna obrona kresów zachodnich, jakoby szczególnie przez Niemców zagrożonych, jest w istocie wyrazem naszej wielkiej krótkowzroczności, gdyż zbroić się przeciw nim moralnie i mate-

rjalnie powinna równomiernie cała Polska, jak długa i szeroka.

Powtóre, mając na względzie specyficzną naturę niemieckiej mentalności i taktyki, należy dotychczasowy nasz system defenzywy zmienić na ofenzywę i naprzeciw opancerzonej pruskiej pięści wyciągnąć pięść własną, conajmniej równie pancerną. Innemi słowy, na pretensje niemieckie do naszych ziem zachodnich odpowiadać trzeba nie tyle usprawiedliwianiem polskości tych ziem przed całym światem, ile przedewszystkiem śmiałem, natarczywem żądaniem Gdańska i Prus Wschodnich. Jestto jedyny realny sposób przytłumienia roszczeń niemieckiego imperjalizmu, skierowanych w naszą stronę.

Oczywiście, żądań takich nie powinna stawiać oficjalna polska dyplomacja. Jej zadaniem jest taktyka absolutnego spokoju, silnych nerwów i — jak się wyżej rzekło — suwerennego lekceważenia wszelkich przygodnych zaczepek i wybryków niemieckiej megalomanji. Inaczej jednak potraktować może i powinno tę sprawę społeczeństwo polskie, nastawiając się jednomyślnie na głośne żądanie usunięcia „absurdu wolnego miasta i korytarza pomorskiego“, ale w znaczeniu naturalnie wprost przeciwnem, niż to rozumieją Niemcy. Polska opinja publiczna, literatura, prasa wszelkich odcieni oraz nieoficjalna propaganda nasza zagranicą winny pracować w kierunku naprawienia walnych błędów Konrada Mazowieckiego i Zygmunta I-go, którzy w krótkowzrocznych porywach wbili raz po raz zatruty cierń w żywy organizm państwa, zamykając Polsce zarazem dostęp do Bałtyku na szerokiej przestrzeni między ujściem Wisły i Niemna. Wyrzucenie stamtąd rządów niemieckich i silne opanowanie bałtyckiego wybrzeża od Gdańska do Kłajpedy, musi stać się naczelnym celem dążeń polskiego narodu, gdyż w danych geograficz-

no-politycznych warunkach umiejscowienia naszego państwa wybrzeże to stanowi najżywotniejszy klucz naszej pozycji i niepodległości.

Utrata wybrzeży Bałtyku pociągnęła za sobą niegdyś i pociągnie także i w przyszłości, utratę Wielkopolski, która szeroką swą północną granicą o polskie Pomorze się opiera. Między władaniem w Gdańsku i Królewcu, a Poznaniu, zachodzi organiczny związek. Chcąc więc obronić Poznań, nie wystarczy roztoczyć koło niego defenzywę, jak to dotąd się dzieje, ale zatakować trzeba śmiało Gdańsk i Królewiec. Zaatakować na razie oczywiście tylko silnem, jednomyślnem żądaniem. Ale wiadomo, że mocno chcieć, to znaczy w przyszłości uzyskać, gdy stosowna nadarzy się okazja, której dla zręcznej a przewidującej polityki nigdy nie zabraknie w ewolucji dziejowej.

Przebywając przez trzy lata w Rumunji, tuż przed wybuchem wojny światowej, byłem świadkiem, z jak jednomyślną intensywnością pożądał cały naród Rumuński Besarabji i Siedmiogrodu, które kiedyś chwilowo wchodziły w skład wiekohospodarskiego państwa. Nic więcej się nie działo, jak tylko zgodne, coraz silniejsze, chociaż na razie tylko czysto platoniczne nastrajanie się całego społeczeństwa rumuńskiego na żądanie odzyskania tych prowincji. I oto przyszła okazja i chociaż obie pożądane prowincje wchodziły w skład wielkich mocarstw i marzenie o nich wydawało się czystą poezją, to jednak polityka rumuńska, zręcznie wykorzystując sytuację, postawiła na swojem i Wielka Rumunja, tak wielka, jaką nigdy przedtem nie była, stała się faktem!

Czyż pożądanie ze strony znacznie potężniejszego narodu polskiego wybrzeży swego morza miałoby być mniej realnem i trudniejszem do osiągnięcia, niż odzyskanie przez małą Rumunję dużych terytorjów na Rosji i Austrowęgrach? Chyba nie, ale muszą Polacy nauczyć się czegoś chcieć, czegoś żądać i wyzbyć się tego zgubnego kwietyzmu, który wykazywała już dawna szlachta, żądając od

króla specjalnego żołdu po pięć groszy od tarczy w razie przekroczenia w czasie wojny granic państwa. Tenże samobójczy kwietyzm i wstręt do ingerencji w obce sprawy przyniósł Polsce niepowetowane straty przez niewyzyskanie zawieruchy wojny trzydziestoletniej i całego szeregu innych korzystnych okazji. Brakiem żądań Polska coraz bardziej się kruszyła. I dlatego przełamanie się wewnętrzne narodu w kierunku stawiania zewnętrznych żądań terytorjalnych stanowić będzie nietylko najskuteczniejszą obronę naszych dotychczasowych granic, ale również i wzmożenie tężyzny społeczeństwa polskiego, mogącej dopiero rokować mocarstwowe perspektywy na przyszłość.

Niech trwożliwi, a niedość świadomi sytuacji, nie obawiają się wojny z Niemcami (czy z Rosją) wobec takiej zmiany w nastroju i postawie naszego społeczeństwa. Z tego powodu wojna z naszymi sąsiadami nigdy nie wybuchnie. W miarę, jak Niemiec nabierze szacunku przed naszą zdecydowaną postawą, w miarę, jak forum międzynarodowe rozbrzmiewać będzie coraz głośniej „krzywdą ziem polskich, pozostałych jeszcze pod panowaniem pruskiem" — to Niemiec zmięknie i stanie się usłużnym dla nas kontrahentem. Inaczej, przy nazbyt „subtelnej" i miękkiej naszej polityce, chcącej dogodzić całemu światu i nazbyt czułej na każde radotowanie w komitetach międzynarodowych, wzmogą się bezczelne twierdzenia o „rdzennie niemieckiej rzece" .....Wiśle! Bo takie twierdzenia już się u naszych sąsiadów odzywają. A ponieważ niejeden polityk angielski, czy francuski, czy hiszpański niewiele ma pojęcia, gdzie to ta Wisła właściwie płynie i jaki naród jej brzegi istotnie zamieszkuje, więc natarczywe żądania niemieckie „przywrócenia niemieckości" tej „starogermańskiej rzeki" mogą z biegiem czasu zrobić swoje, przynajmniej w pewnym stopniu, a zwłaszcza w kwestji korytarza.

Trzeba więc, łamiąc energicznie kwietyzm i zaściankowość rodzimej polityki, po przodkach niestety odziedzi-

czonej, tłomaczyć rozgłośnie piórem i słowem, że rdzennie polską, a dopiero później przemocą zgermanizowaną rzeką jest Odra. „Granica Odry“ w elementarnem, żywiołowem żądaniu społeczeństwa polskiego będzie lepszem i skuteczniejszem odparciem wypadów różnych Treviranusów, niż fundacja jednej łodzi podwodnej (którą swoją drogą trzeba zbudować).

Cieszymy się i puszymy naiwnie dobrem świadectwem, jakie wystawia naszej pokojowości Liga Narodów, naprawdę, jak żak szkolny, gdy wraca do domu z dobrą cenzurą, która jednak wcale jeszcze nie nadaje mu patentu na prawdziwie tęgiego człowieka. A jabym wolał, żeby Liga Narodów trochę na nasz „imperjalizm“ narzekała i zmuszona była od czasu do czasu, dla pozbycia się kłopotu, ten imperjalizm nieco zadowolić. Wszak tak, a nie inaczej, postępują Niemcy, Włosi i Francuzi, nie mówiąc już o Anglikach, tak postępują nieraz nawet państwa drugorzędne i — znakomicie na tem wychodzą. Bo Liga Narodów i wszelkie z nią związane sprawy międzynarodowe, to dyplomatyczna licytacja, w której zyskuje najwięcej ten, kto największe wysuwa żądania, oczywiście żądania, poparte jakimkolwiek momentem realnej siły. I rzecz dziwna: my, Polacy, z całą naszą pokojowością i słusznością argumentów, zwyciężamy zwykle w dyskusji na zebraniach Ligi, nam przyznają wszyscy rację — ale realne korzyści, coraz większe, wyciągają jednak Niemcy! Dla was sława — dla nich zysk! Dla nich coraz większe ulgi traktatowe i wzrost autorytetu — dla nas grzechotki lokarneńskie i platoniczne pochwały!

Czy nie powinno to nasunąć poważnych refleksji?

Równolegle i — zdaniem naszem — nierozdzielnie z tak ujętym problemem korytarza i Prus wschodnich traktować należy kwestję ukraińską. Osłabienie bowiem Polski na wschodzie wywoła oczywiście osłabienie i na zachodzie. Racjonalne więc rozwiązanie problemu Małopol-

ski wschodniej, jako rdzennej od sześciu wieków części składowej Polski, przy równoczesnem wysunięciu polskiego „mandatu“ rozwiązania problemu Wielkiej Ukrainy (w danych warunkach oczywiście z nieokreślonym terminem) stworzyłoby dla nas tem silniejsze oparcie dla rozgrywki z Niemcami. Błądzą nasi Pomorzanie i Wielkopolanie, że nie zajmują się bliżej problemem ukraińskim, podobnie jak błądzą Małopolanie, negliżując sprawę korytarza pomorskiego i obrony kresów zachodnich, chociaż w ruchu ukraińskim widzą, a przynajmniej czują na każdym kroku dłoń i pieniądze niemieckie.

Trzecim wreszcie walnym atutem antyniemieckim (i zarazem antyrosyjskim) musi być jasne i wyraźne dążenie Polski do wytworzenia jakiegoś bloku państw dokoła siebie, związanego różnemi konwencjami natury militarnej i gospodarczej. Blok taki, zapoczątkowany może szkicowo przez obecne konferencje porozumiewawcze ośmiu państw agrarnych środkowo-wschodniej Europy, trzeba wzmocnić, pogłębić i uzupełnić, tworząc od Bałkanów po zatokę Fińską silny wał obronny, któryby Niemcy odgrodził stanowczo od Rosji i zmusił je do liczenia się na serjo z rzeczywistością mocarstwowości Polski.

Zorganizowanie bloku „Środkowo-wschodniej Europy“ uważamy w całym grożącym nam wciąż splocie problemów niemieckiego i rosyjskiego za sprawę kapitalnego znaczenia. Tylko bowiem powstanie takiego regjonalnego związku, złączonego silnie poczuciem wspólnego niebezpieczeństwa, wspólnych potrzeb i konieczności wspólnej organizacji, sięgającej tak głęboko, jak tylko dopuszcza to postulat suwerenności poszczególnych kontrahentów, zabezpieczy nas i naszych przyjaciół na serjo przed zaborczością potężnego zachodniego i wschodniego sąsiada. Zapewne, cenne nam jest i niezbędne przymierze z Francją. Ale niepodobna kontentować się niem tylko po wszystkie czasy i to tembardziej, że trwałość i wartość tego przymierza

zależeć będzie także od siły, jaką Polska przedstawiać będzie dla Francji.

W polityce i dyplomacji rozstrzygają nie sercowe porywy, lecz realne interesy. Wierzymy, ze względów oczywistych, w szczerość polsko-francuskiego przymierza. Ale pewni będziemy tego przymierza w k a ż d e j k o n j u n k t u r z e tylko wówczas, jeżeli Francja też pewną będzie, że posiada w Polsce naprawdę silnego sojusznika. A taki moment siły może Polska uzyskać na razie tylko tworząc silnie spojony blok Środkowo-wschodniej Europy pod swem przewodnictwem.

Jest jeszcze i druga kwestja pierwszorzędnego znaczenia, której nie wahamy się jasno postawić. Dążymy do mocarstwowości ojczyzny, bo oczywiście tylko Polska mocarstwowa może się skutecznie w kleszczach niemiecko-rosyjskich utrzymać. Ale ze wszystkich haseł owej mocarstwowości nie dowiadujemy się, w jaki sposób możemy ją realnie osiągnąć? Zapewne, wezwania do „wyścigu pracy“ lub „samowystarczalności gospodarczej“ lub „naprawy ustroju“ są same przez się oczywiste, ale programu mocarstwowości — w całem tego słowa znaczeniu — jeszcze nie rozwiązują i nigdy nie będą w stanie rozwiązać. Dlaczego? Bo dla realizacji tego programu P o l s k a j e s t w o b e c n y c h s w y c h g r a n i c a c h p o p r o s t u z a m a ł a. Jasne to i nie wymagające argumentów!

Problem „Polski mocarstwowej“ ma dwie strony: wewnętrznego wzmocnienia pod każdym względem oraz znacznego rozszerzenia granic, przynajmniej do stanu z roku 1772. Bez osiągnięcia obu tych warunków nie wyobrażam sobie na serjo Polski mocarstwowej. Pierwszemu przeszkadza doktrynerska demokracja ze swym podwórkowym horyzontem widzenia. Drugiemu przeszkadza — o ile o nas chodzi — atawistyczny kwietyzm naszej miękkiej duszy słowiańskiej. Jedną i drugą przeszkodę należy przełamać i usunąć, a wówczas będziemy mogli — spokoj-

nie, ale konsekwentnie i celowo — zabrać się do przygotowywania podstaw materjalnych i psychicznych dla osiągnięcia mocarstwowości drogą zarówno wewnętrznej pracy, jak i zawczasu przewidzianego wykorzystania zewnętrznych okazji. Zwiększenie geograficzne Polski jest niezbędnym warunkiem jej egzystencji. Dlatego nie możemy godzić się już dzisiaj na żadną petryfikację naszych granic w myśl różnych koncepcji paneuropejskich, a natomiast winniśmy wszelkich starań dołożyć, aby powołać do życia regjonalną unję państw Środkowo-wschodniej Europy, aby tem silniejsze zyskać oparcie dla realizacji naszych głównych, żywotnych celów nad Bałtykiem i na Wschodzie.

Zręczne, taktowne, ale niezachwiane dążenie w tych kierunkach będzie jedynie racjonalnem, skutecznem odparciem niemieckich pretensji i ataków. Układy i ustępstwa do niczego nie doprowadzą, stwarzając w najlepszym razie tylko chwiejne i zwodnicze prowizorja, poza któremi wróg tem lepiej przygotowywać się będzie do walnego na nas ataku. Dlatego musimy najpierw dostać, co nam się należy, co nam potrzebne do życia i mocarstwowego autorytetu, a potem będziemy mogli podjąć układy z daleko lepszym rezultatem.

Polska, mająca przed sobą coś do żądania, a za sobą odpowiednie siły i mocno z nią związanych sprzymierzeńców, będzie mogła spokojnie patrzeć na wszelkie perypetje nienawiści i megalomanji niemieckiej.

I jeszcze jedno. Dlaczego nie dopuszczono w wojnie światowej do zaboru Belgji w taki czy inny sposób? Działały tu oczywiście różne momenty, sprawiedliwości, wdzięczności, dyplomacji i t. d. Ale główną rolę jeden odegrał moment: Belgja jest krajem o bardzo wysokiej kulturze. A dzisiaj cywilizacja osiągnęła już taki poziom w stosunkach międzynarodowych, że, mimo najkrwawszych wojen, nie dozwala na niszczenie krajów o wysokiej kulturze.

Jakże pod tym względem stoimy?

Odpowiedź na to pytanie otrzymałem raz w rozmowie, na inny zresztą temat, z ust rodaka, który spędził długie lata na wysokiem stanowisku gospodarczem w głębi Rosji, mając równocześnie, z tytułu swego stanowiska, stosunki także z Niemcami.

— Dlaczego — spytałem — Polacy z b. zaboru rosyjskiego, najgorętsi nieraz patrjoci, pamiętni dobrze niesłychanych, krwawych prześladowań, jakie przez stokilkadziesiąt lat naród nasz wycierpiał od Moskali, odnoszą się jednak do Rosji z jakąś dziwną, niepojętą pobłażliwością, czy słabością, jakgdyby — mimo wszystko — uczuwali pewną, choćby tylko podświadomą sympatję do tego prymitywnego, półazjatyckiego państwa i społeczeństwa? *) A dlaczego z większą nienawiścią odnosicie się do Niemców, chociaż wszystkie prześladowania pruskie, razem wzięte, nie mogą się równać rozmiarem tym, które wycierpieliście od Rosji?

— To całkiem zrozumiałe — odpowiedział. — Sedno sprawy leży w uczuciach narodowej ambicji Polaków. Moskal gnębił nas istotnie gorzej od Prusaka, ale odnosił się do nas mimowoli jako do przedstawicieli wyższej cywilizacji, wyższego intelektu. Nawet nienawiść rosyjska ku nam była częstokroć tym właśnie momentem dyktowana. Natomiast Niemiec uważał nas i uważa zawsze za szczep słowiański o niższej kulturze i odnosi się do nas z odpowiedniem lekceważeniem. A tego nasza duma narodowa — świadomie czy podświadomie — znieść nie może. I stąd taka nienawiść do Prusaka!

Oświadczenie to mego przygodnego interlokutora ujmuje doskoanle sprawę. Musimy podnieść się ekonomicznie i kulturalnie tak wysoko, aby Niemiec, czy Anglik, czy inny naród zachodni uznał w nas „auch ein Kulturvolk“.

---

*) Oczywiście była mowa o Rosji wogóle, a nie o Sowietach.

A do osiągnięcia takiego poziomu potrzeba nam oczywiście silnego rządu, „pruskiego“ porządku i dyscypliny w państwie, wyzbycia się doktrynerskich, demokratycznych słabostek i usunięcia z naszego ustawodawstwa i z naszych praktyk administracyjnych wszystkiego, co bezpośrednio lub pośrednio hamuje swobodny rozwój gospodarczy. A nadewszystko potrzeba nam bardzo intensywnej propagandy, prowadzonej zagranicą słowem, piórem i czynem, przy pomocy odpowiedniej organizacji, którą należy z całym rozmachem rozwinąć przy pomocy odpowiednich środków pieniężnych, które w budżecie znaleźć się muszą, czy to w specjalnej rubryce, czy ukryte w odpowiednio dotowanych funduszach dyspozycyjnych. Nawet sto miljonów rocznie na ten cel nie powinno być uważane za rozrzutność, bo w warunkach, w jakich specjalnie Polska się znajduje, w obliczu olbrzymiej, wrogiej propagandy niemieckiej i sympatyków Niemiec w państwach nam przyjaznych, akcja propagandowa i reklamowa z naszej strony jest pierwszorzędnym czynnikiem zabezpieczenia państwu niepodległości.

Oto — w ogólnym zarysie — nasza prawdziwa, realna „odpowiedź Treviranusowi“. W tych kierunkach musi nastroić się całe nasze społeczeństwo. Nie wolno bawić się w sielanki i ideały i w rezultacie.... dawać się brać na kawał!

We Francji, prawie równie, jak my, zagrożonej, budzi się już coraz potężniej poczucie niebezpieczeństwa niemieckiego, łamiąc skutecznie pewne hamulce psychiczne, stworzone chwilowo idealistyczną polityką Brianda i innych wielkich a naiwnych apostołów bratania się z Niemcami. Mnożą się we Francji głosy, kongresy i akcja prasowa, wskazując słusznie nietylko na beznadziejność, ale wprost nawet na niebezpieczeństwo i nonsens głaskania bojowego germanizmu, podnieconego klęską przegranej wojny daleko więcej, niż kiedykolwiek przedtem. Posłuchajmy, co myślą o tem trzeźwi Francuzi i to na podstawie konkretnych

materjałów, dotyczących obecnych zbrojeń i dążeń niemieckich *):

„Wierzyć w szczerość ewolucji w wojowniczych umysłach naszych dawnych nieprzyjaciół i przypisywać im uczucia pokojowe byłoby z naszej strony najniebezpieczniejszą lekkomyślnością. Tak samo wierzyć, że Niemcy zgodzą się na zrzeczenie się odebranych im obszarów wschodniej połaci Prus, na obecne granice z Polską, na utratę kolonji, byłoby jeszcze bardziej niebezpieczną naiwnością. Nie będzie u nas wkrótce nikogo, poza p. Briandem, ktoby oddawał się takim iluzjom!“.

Naród o aspiracjach mocarstwowych, mający przed sobą olbrzymie zadanie do spełnienia, nie powinien oczywiście prowadzić żadnej polityki awanturniczej. Ale — stosując tu wyrażenie jednego z naszych bardzo wybitnych polityków — nie wolno też takiemu narodowi w obliczu nieubłaganego wroga być mazgajem! Pięknie, że na arenie genewskiej rozlega się wciąż z naszej strony oficjalnej głos spokojny, poważny, pokojowy. Ale właśnie dla realizacji pięknych celów pacyfistycznych musimy najpierw wybić żądania niemieckie naszemi żądaniami — jak klin klinem.

Jan Bobrzyński.

---

*) Charles du Hemme et Hubert-Jacques: Français...... garde à vous! — Paris, 1930. Z przedmową marszałka Lyautey.

CIEKAWY DOKUMENT.

Dwaj komuniści z niższych warstw ludowych, odsiadujący karę w więzieniu białostockiem, przesłali niżej podany list otwarty do redakcji „Robotnika“ z prośbą o zamieszczenie. Redakcja odmówiła, oczywiście dlatego,, aby nie dewualować stosunków, łączących P. P. S. z komunistami i list ten przekazany został przez władze więzienne do archiwum władz sądowych.

List otwarty skierowany jest do pani Sempołowskiej, delegatki centralnego komitetu wykonawczego P. P. S. dla wspomagania więźniów politycznych, a więc w istocie chyba tylko komunistów, bo socjalizm nie jest u nas przecież prawem ścigany. P. Sempołowska, z zawodu nauczycielka, zaznaczyła się w b. Galicji, jeszcze dawno przed wojną, bardzo radykalnemi przekonaniami.

Zamieszczamy to pismo dosłownie, nie naruszając stylu i ortografji. Treść jego mówi dostatecznie sama za siebie i potwierdza fakt, dla nas zresztą oczywisty, że polskość P. P. S. jest tylko czasową pokrywką międzynarodowego marksizmu, stojącego dziś w ostatecznej instancji pod komendą Moskwy, który musiał ugiąć się w Polsce „tymczasowo“ przed patrjotycznem uczuciem narodu, polonizując z konieczności swą firmę, ale w gruncie rzeczy odgrywa tylko komedję, zazdroszcząc władzy i sławy swym bezwzględnym współwyznawcom ideowym z poza wschodniego kordonu.

Zamieszczamy ten dokument jeszcze i dlatego, że rzuca ciekawe światło na organizację więzienną komunistów, intrygi w jej łonie, oraz na psychikę prostych a naiwnych jednostek z naszych sfer proletarjackich, zawiedzionych na „sprawiedliwości“ socjalistycznej i komunistycznej.

Wymieniony w tym liście Goldstein jest bardzo wpływowym członkiem centralnego komitetu Komunistycznej Partji Białoruskiej, a Epstein jej sekretarzem (pseud. „Robert“).

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracamy się z uprzejmą prośbą, o umieszczenie niniejszego listu w poważanym piśmie „Robotnika“ redagowanego przez Pana.

List otwarty.

Szanowna Obywatelko!

Jesteśmy zmuszeni podziękować Pani za opiekę i pomoc materjalną, które otrzymaliśmy za czas naszego pobytu w więzieniu, a mianowicie: piąty rok płynie, a od Pani otrzymaliśmy patronatu akuratnie nie więcej, jak po pięć złotych rocznie. Nie mielibyśmy pretensji, żeby siedzące w więzieniu więźni polityczne otrzymywali wszystkie równo, ale to jest wcale inaczej, w czem i jest całe nieszczęście. Pani doskonale wie o tem, że są więźniowie polityczni z przywileją i bez niej, a również że są podzieleni na kilka kategoryj. Wiadomem jest również Pani o tem, że egzystują krzyżyki, oznaczające kategorje: jeden krzyżyk, dwa krzyżyki i trzy krzyżyki, a także i o tem Pani wie, że są więźniowie polityczni, które nie posiadają żadnych krzyżyków i ci opośledzeni przez Panią. Ale my nie winimy w tem Pani, a to dlatego, że rządzi Pani sama sobą, a rządzą Panią Goldsztejny, Zacharjuszy, Epsztejny i im podobni panowie... Oni każą Pani słać na danego osobnika i wskażą według jakiego krzyżyka ma się jemu wysłać i Pani to czyni, bo Pani bezradna jest temu zarządzić, a podrugie tłumaczą się ci, wyżej wskazani, przed Panią, że nie robi to żadnej różnicy, że wysyła się na jed-

nego większą sumę, a na drugiego mniejszą, a na trzeciego wcale nie, ponieważ więźniowie polityczni żyją razem wszyscy w jednej komunie. Prawdą jest, że istnieją komuny ogólne i prawdą jest, że wszystkie pieniądze wpływają do kasy ogólno-komunalnej, ale i to prawdą jest, że ci co otrzymują większe sumy pieniężne, to i oni są panami sytuacji nad wszystkiem i wszystkiemi więźniami politycznemi, bo wszystkie członki komuny muszą być podlegli im, jak politycznie, tak i ekonomicznie i muszą ich wybierać do ciał kierowniczych, a jeśli kto nie uczyni tego i nie odda swój głos na kogo oni każą, to zostanie odsadzony, jak ciele od krowy. Takich wypadków jest bardzo dużo, bo bywają jednak śmiałki, którzy rozumiejąc, że takie postępowanie jest szachrajstwem i niesprawiedliwością, jak również i niezgodne hasłu komunistycznemu „Niech żyje równość i braterstwo", więc ci śmiałkowie powiadają dla Goldsztejnów, Zacharjaszów, Epsztejnów i im podobnych: Szanowni towarzysze. Złą taktyką się kierujecie, wasza taktyka jest niesprawiedliwa i niewolno tak się rządzić wam, jak dziedzic w swym folwarku. Nie wolno wam traktować tak więźni politycznych, czy lepiej powiedzieć, swych towarzyszy, jak najgorszych niewolników, sobie ich podległych i nie wolno wam w sposób tak haniebny wykorzystywać chłopów i robotników, jak politycznie, tak i ekonomicznie, bo takie wasze postępowanie przeczy temu, zaco tu siedzimy. Wówczas ci panowie, powyżej wskazani, szukając środków dla usunięcia od siebie tych śmiałków, używając środków nikczemnych, kłamliwych i podstępnych, aby móc skompromitować, a potem uchylić ich od siebie, oddymując im wszelką pomoc materjalną, zasilaną przez patronat miejscowy, a także i powiadamiając Panią, ażeby nie słać na nazwisko tego pomocy pieniężnej i nie wysyłać na niego gazety, o ile ten osobnik takową otrzymuje, opłaconą przez Panią. Niestety, Pani to wykonuje. Dlaczego to jest tak? A to dlatego, że Pani Sempołowska musi ich słuchać i czynić co oni każą, a po drugie, że Pani

nie jest wtajemniczona w to, co się w więzieniu robi przez tych wielkich ludzi, co powyżej są wskazani.

Poruszamy jeszcze jedną kwestję, na którą więźniowie polityczni najgorzej patrzą wzdumiewając, że tego nie powinno być, ale niestety jest. O tem szanowna Pani doskonale wie, a mianowicie: że niektórzy osobnicy, więc zaufani otrzymują grubsze sumy pieniężne, po dwieście, trzysta i więcej złotych miesięcznie, pomimo tego, że nie przysyła Pani tych kwot legalnie, a przysyłane są, bądź to przez krewnych, bądź to przez znajomych, ale ogół więźni politycznych doskonale wie, że te pieniądze wychodzą z jednej kieszeni i działają zgorszenie ze strony idealnej, również ogół widzi, że te pieniądze idą na dużo rzeczy niepotrzebnych w więzieniu, na t. zw. w sprawozdaniu miesięcznym „cudosy“. Również, proszę szanownej Pani, ogół wie i o tem, że wszelkie pieniądze nadsyłane do więzienia, jest to pieniądze krwawo-pracującego i potem oblewającego się robotnika i chłopa. Oni dają na podtrzymanie więźni politycznych, więc jest pytanie: czy chłop i robotnik korzysta z tego? Tak, korzysta ten, co drży od tupnięcia nogi, powyżej wskazanych panów, ale ta korzyść i dla nich w bardzo nikłych procentach, a większa część procentowa pozostaje dla sklepikarzy na „cudosy“.

Szanowna Pani Sempołowska. Niech Pani nie dziwi się naszemu napisaniu do Pani kilka słów szczerech życia więziennego. Nie jeden z towarzyszy naszych już dawno chciałby o tem napisać do Pani, ale nasi zwierzchnicy mądrze z tem urządzili się i wprowadzili kontrolę nad listami i w taki sposób wiedzą, co piszą więźniowie polityczni. Jest ta kontrola w Białostockim i Łomżyńskim więzieniu, jesteśmy więc jak pewni, że i w innych więzieniach nie inaczej jest, bo ta metoda dla naszych samowładców jest najwygodniejszą, ponieważ ich brudna robota nie może się przedostać poza mury więzienne i oni nadal z takich metodów korzystają. Teraz musimy również wspomnieć o paczkach patronackich, przysyłanych z wolności. Daje

się ich t. zw. „swoim“, a dla chłopów i robotników co dziesiąta i to tylko jeden chleb, nic więcej do niego, a swoim: chleb, bułki, masło, kiełbasa, cukier, herbata i tytoń. Więc szanowna Pani pomyśleć nad tem zdaje się, iż to nie robi żadnej różnicy, kto otrzyma i co, ponieważ jest osobna komuna, ale patrzeć na to, jest różnica i to wielka, po pierwsze: że kto dostaje bogate podania, ten tem samem musi dostać większy wpływ i autorytet, a podrugie, siedząc na pojedynkach, to niesie się tyle do podziału ogólnego, ile z nosa spadnie. Jesteśmy zmuszeni również wspomnieć Pani, jak się załatwia nasze rodziny, pozostałe na wolności w nędzy i głodzie. Jaki procent otrzymują rodziny robotnicze i chłopskie, czy wcale nic? A ile otrzymują rodziny sklepikarzy, czy nie całą sumę, co jest przeznaczona na ten cel? Tak jest i dlatego niech się Pani nie dziwi, że my używamy słowa sklepikarze, bo w rzeczywistości tak jest. Z partji komunistycznej zrobili sklep większy, a z patronatu mniejszy, ale w obu interes idzie nieźle, bo gdzie pieniądze, tam są i oni, gdzie niema pieniędzy, tam niema i ich. Wcale nie jest tu nic dziwnego, bo dużo z nich takich, że nic wspólnego nie mieli z proletarjatem i mieć nie mogą, a to dla tego, że z zawodu są synkami większych sklepikarzy, jak składów mąki, mięsa i innych. Więc nic dziwnego, że się zgodzili i w tych sklepach zająć odpowiednie miejsca do swego fachu i należy przyznać, że prowadzą interes dosyć świetny dla swej własnej korzyści, a na krzywdę chłopa i robotnika.

Szanowna Pani. Chcemy wspomnieć jeszcze jeden punkcik, o nadsyłanej do więzienia odzieży, obuwia i ciepłej bielizny i jak je się rozdziela pomiędzy więźniami politycznemi, a według rozsądków naszych zwierzchników najsprawiedliwiej; kto ma dwa ubrania, ten dostaje trzecie; kto ma dwie pary obuwia, ten dostaje trzecią. Tak samo dzieje się i z bielizną, kto ją ma, ten jeszcze dostaje, a kto niema, ten i mieć nie może, a najlepszy fakt, że tą bieliznę, którą Pani przysłała zeszłą zimę do więzienia Łomżyń-

skiego, dostali ci, którzy już mieli, a ci którzy nie mieli, to nie otrzymali. Ten to fakt nie da skryć przed ogółem więźni politycznych, ani kryminalnych, a nawet przed administracją więzienną, ponieważ wychodząc na spacer, dwa razy dziennie, musimy się pokazać wszystkim oczom, które na nas są zwrócone i co ci oczy widzą? A widzą codziennie dwie kategorje ludzi w jednej grupie. Jedni ubrani i obuci w cywilne ubrania, a nawet w kołnierzykach i krawatach i dla tego ci panowie zwą się inteligencją, a druga część i to większa, ubrana i obuta w ubranie i obuwie więzienne, bo nie mają swego własnego i zmuszeni są chodzić w więziennym, a u inteligencji zapas w walizkach leży, a jak zapas wyjdzie, to patronat znów przyśle i czy to jest sprawiedliwość? A jak przychodzi dzień święta komunistycznego, trzeba lepiej wszystkim ubrać się, ponieważ trzeba włożyć czerwoną kokardkę — na ten dzień przechodzi uchwała, ażeby ci co mają po kilka ubrań schowanych, wypożyczali tym, co ich wcale nie mają, gdyż nieładnie jest więźniom politycznym chodzić w ubraniu więziennym w dzień święta, ale codzień, to jest ładnie. Co się tyczy ciepłej bielizny, to nie znamy takiego wypadku, przez cały czas naszego pobytu w więzieniu, żeby otrzymał chłop i robotnik oprócz t. zw. „swoich", aczkolwiek chłop i robotnik nie umie jej nosić, a tylko umieją „swoje". Taki Goldsztejn, rządowej bielizny brzydzi się na siebie włożyć i cały czas swego pobytu w więzieniu nosi swoją własną, bo jemu na nią wystarcza, a chłopu i robotniku bardzo często się zdarza, że przy wyjściu na wolność, po odcierpieniu swej kary, że niema pary bielizny włożyć na siebie, więc kładzie marynarkę i spodnie na gołe ciało, choć marynarka i spodnie także nie jego, a darowizna, lecz ta darowizna dla nich nie jest godna do użytku, więc dają ją wychodzącemu na wolność — to jest proszę Pani komuny więzienne i ich sprawiedliwość... Czy to wszystko, powyżej wskazane, odpowiada temu, zaco my siedzimy? Chyba i dziecko zrozumie, że też nie. Teraz szanowna

Pani wspomnijmy te fakty, co Pani je wykonała, jak kazano było przez Goldsztejna, temu rok wstecz, w więzieniu Łomżyńskim, a pytamy zaco? A tylko zato, że ośmieliliśmy się zapytać, przy sprawozdaniu komisji gospodarczej w rubryce „cudosy", co takowe oznaczają, więc za tą śmiałość, Goldsztejn oświadczył dla nas pięciu, że zdyma nam gazety i pomoc pieniężną, która od czasu do czasu była słana przez Sempołowską i przez kilka dni byli wstrzymane trzy gazety, co szli na nazwiska: Świerzbiński „Głos Prawdy"; Radzicki „Ekspress Poranny"; Krysztof „Kurjer Warszawski", a również i pieniądze odjęte, bo rok minął, a my wszyscy nie otrzymali od Pani ani grosza. To samo przez się mówi, iż Pani sama sobą nie rządzi. Zwracaliśmy się wszyscy pięciu do Pani,, ale bez skutku, nawet nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Jeden, co już dla przekonania, czy sprawdzi się Goldsztejna oświadczenie, częściej pisał, to dostał odpowiedź wymijającą, że odrazu zrozumieliśmy, że to co Goldsztejn i jemu podobni powiedzą, to i święte.

Teraz wyjaśnimy, co to znaczy słowo „cudosy". Przy mięsiecznem pisemnym sprawozdaniu jest rubryka, w której była wstawiona nazwa „cudosy". Przypuśćmy wypisuje się: chleb, słonina, cukier, pasta, atrament, nici i „cudosy", a w tych „cudosach" suma wielka, a towar ogółu nie jest znany, bo ogół o tem nie może wiedzieć, ponieważ tam są wypisane perfumy, puder, chusteczki, jedwabne skarpetki, mięso codzień na obiady dla inteligencji, a nawet obuwie i ubranie, bo nato jest „cudosy" i cudne rzeczy wraca z kuchni, również widzi kiedy zostaje dla inteligencji w nich się wypisuje. Ogół widzi, jak każdy dzień, adjutant Goldsztejna idzie na kuchnię gotować obiad i widzi kiedy te obiady, ale o tem mówić nic nie może, bo o ile by się odezwał, to byłby tym śmiałkiem i nie mógł by korzystać z tych okruch, z jakich korzysta i dla tego się boi i lepiej nic nie mówi, ale co on myśli, to już można zrozumieć. W więzieniu Łomżyńskim, w kwietniu miesiącu, poruszone

były takowe rzeczy, które byli zawsze niby w tajemnicy. Ale nawet gorliwy zwolennik ciał wykonawczych Kapłan, przez swą nieostrożność na zebraniu wymówił się, kiedy był wystawiony punkt przez trzech białorusinów, którzy mieli wyjść na wolność w maju, ażeby im dać jakiekolwiek ubranie, ponieważ nie mają w czym wyjść. Wówczas pan Kapłan oświadczył, że nie wolno ubrania wydawać ludziom ze wsi, którzy wychodzą na wolność, a to dla tego, że gdy wyjdzie dobrze ubrany i zajdzie do swej wsi, to cała wieś powie, że przyszedł ubrany z więzienia za sowieckie pieniądze i to kompromitowałoby Rosję sowiecką, pomimo tego, iż tylko jedynie pomoc dostajem z Rosji sowieckiej, ale o tem nikt nie wie i wiedzieć nie może. Ale ci trzy białorusini, wprawdzie już przed wyjściem, stali się śmielsze i zaczęli wyliczać tych co wyszli na wolność przedtem i wydaliście im po nowym ubraniu, pomimo tego, iż niektórzy mieli po dwa i więcej ubrań swoich i nawyliczali takowych całą kupę. W przykrej sytuacji wynalazł się pan Kapłan, ale dał odpowiedź, że ci dostali ubranie przed wyjściem, jest prawdą, że mieli i mogli mieć, bo są zamożni z domu i o ile oni wyszli ładnie ubrani, to im nikt tego nie podziwi, aczkolwiek ci ludzie są inteligentni i na wolności oni tak chodzili, dlatego o nich nikt nie powie, że oni noszą ubranie za sowieckie pieniądze. Wówczas białorusini oświadczyli: trudno, że dla nas nie można, pójdziemy na wolność choćby nadzy, ale to wszystko, cośmy tu widzieli, nie jest zgodne z tym, zaco my tu siedzimy i spodziewamy się więcej tu nie siedzieć i innych od tego uprzedzić.

Kiedy przyszedł ich dzień wyjścia na wolność, prawda, że poszli nie nago, ale mało do tego brakowało. Teraz szanowna Pani musi się nad tym zastanowić, że nie pisze nikt o tem Pani z więzienia, a to dla tego, że egzystuje kontrola listów, przez naszych zwierzchników i dla tego nie mogą napisać. Dlaczego nie napiszą ci, co powychodzili na wolność, przecież oni wiedzą o tem doskonale co się w więzieniu dzieje i na wolności nie kontroluje *im* nikt

listów, a o ile i napiszą, to bardzo ostrożnie. Gdyby napisali całą prawdę, co jest w więzieniu, to musiałby oczekiwać ten kuli w łeb ze strony partji komunistycznej.

Mamy fakt z roku 1927 w Białostockiem więzieniu, kiedy na ogólnym zebraniu Świerzbiński powiedział kilka słów prawdy, o ich więziennej robocie, całej w brudach, to Mordko Gołąb wystąpił i oświadczył, że po wyjściu na wolność, bierze na siebie ten obowiązek, iż pierwszą kulę Świerzbińskiemu w łeb wsadzi. To oświadczenie było oficjalne, a ile takowych słyszało się nieoficjalnie — bardzo dużo, bo kto tylko prawdę powiedział, to mu kulą grożono. Prawdą jest, że rygor partyjny powstrzymuje tych, którzy chcą powiedzieć słowo prawdy.

Pomimo tego, że i nas ta kula oczekiwać może zato, że i my napisali kilka słów prawdy, choć co prawda nie jest to jeszcze wszystko, ale niech ta reszta brudów pozostaje za kratami więziennymi. Naszym obowiązkiem jest i my do niego się poczuwamy i piszemy prawdę, choć kula nas za to czeka, bo człowiek uczciwy nie może w sobie tych brudów powstrzymać i musi je wyrzucić z siebie na światło dzienne dla przestrzeżenia innych, bo nie dziś, to jutro o tym każdy wiedzieć będzie.

Szanowna Pani. Te więzienne uniwersytety, o których na wolności tak głośno się mówi, a to nawet się i krzyczy przez komunistów, że więzienie, to uniwersytet dla więźni politycznych. Prawdą jest, że się uczą, przeważnie młodzież komunistyczna, ale czego? Jakiej nauki należy się spodziewać, gdyż tymi nauczycielami są nie kto inny, jak Goldsztejn, a lepiej powiedzieć Brudasz (lewe przebrane nazwisko pod którem na wolności posługiwał się), a także Zacharjasz, były Wajde, Lacki i inni, uczą tego, co sami umieją, a umieją najlepiej sklepikiem prowadzić i tego samego innych uczą. Tak należy uznać, że z tych, powyżej wskazanych uniwersytetów nauczył się i zrozumiał chłop i robotnik, patrząc na to i zrozumiał zaco on tu siedzi i jakiej przyszłości może oczekiwać, a także poznał

się na tym raju komunistycznym, o którym na wolności mu mówiono i dzisiaj wie o tym doskonale, że to co słyszał na wolności, to jest wszystko demagogja i wszystko na niej oparte i z tych kłamliwych ideałów nie może korzystać cała rzesza ludu pracującego, a tylko jednostki. Nie mamy co się dziwić szanowna Pani Sempołowska, że w więzieniach polskich niema jedności pomiędzy więźniami politycznymi i wynachodzą się t. zw. grupy luźne, lub grupy niezadowolnionych z działalności więziennych przywódców. W więzieniu Łomżyńskiem takowa grupa składała się z 14-tu osób z narodowości ukraińskiej, białoruskiej i polskiej. W więzieniu Białostockiem składa się z 21 osoby, z tejże samej narodowości, a nawet i z dwóch żydków, którzy nie mogli zcierpieć tego wszystkiego, co się w ogólnej komunie robi. A także nie możemy się dziwić i temu, że dzisiaj na wolności alarmują komuniści, że z każdym dniem partja komunistyczna maleje i że ci, co powychodzili z więzienia nie chcą pracować, obwiniając ich o tchórzostwo, lub oto, że rozczarowali się w więzieniu. Tak jest i my ten zarzut drugi uznajemy za właściwy, że się rozczarowali, ale nie dla tego, że władza wsadziła do więzienia, ale dlatego się jedynie rozczarowali, patrząc na robotę swych przywódców w więzieniu i dlatego nie chcą po wyjściu z więzienia pracować w partji, bo na same więzienie nie możemy narzekać, na warunki dla więźni politycznych i obchodzenie się administracji, pod tym względem rozczarowania być nie może.

Teraz apelujemy do sumienia Pani, ażeby zaradzić tej niesprawiedliwości i przyjść z pomocą dla upośledzonych chłopów i robotników.

My odpis tego listu, ze swej strony, odsyłamy do redakcji dla ogłoszenia takowego w gazetach, a to dla tego, żeby rzesza ludu pracującego całej Polski wiedziała, co robi się w więzieniach polskich, a także ma być to przestrogą dla tych kandydatów, którzy mają przyjść do więzienia za sprawy polityczne, niech wiedzą o tem, co ich

w więzieniu ma spotkać. A także niech dowie się ten, co daje grosz na podtrzymanie więźni politycznych i co zą nich się robi, a nawet niech cały świat wie o tych nikczemnych, co się podszywają pod ideją chłopa i robotnika, a nigdy z chłopem i robotnikiem nic wspólnego nie mieli, bo chłop pracuje na roli, robotnik w fabryce, a oni handel i sklep.

Z poważaniem: (—) **W. Świerzbiński**
(—) **P. Radzien.**

Białystok — więzienie.
Dnia 5 stycznia 1930 r.

Czy wobec takich dokumentów będzie Polska Partja Socjalistyczna przypisywać sobie ciągle jeszcze zasługę „obrony prawa i wolności polskiego ludu“ i licytować się ze wszystkiemi stronnictwami w sejmie swym „patrjotyzmem“?

ODKRYCIE „RAJU" CZYLI „FUROR TEUTONICUS".

Czytając tytuł niniejszego artykułu, zada sobie zdziwiony czytelnik pytanie, co może mieć wspólnego jakieś „odkrycie raju" z ową przysłowiową „furją", a raczej „impetem" zastępów teutońskich, przed którym ongiś ustępować musiały nawet rzymskie legjony, a który w nowszych czasach objawił się zarówno w brutalnej pruskiej strategji, jak i w niemniej brutalnym imperjaliźmie oficjalnej polityki niemieckiej oraz w zaborczym nastroju całego społeczeństwa niemieckiego?

Odpowiedź na to pytanie daje właśnie dzieło p. Franz von Wendrin'a *), które — zapewne nazbyt mało znane w świecie naukowym — tłomaczy zdumionemu czytelnikowi, na podstawie bardzo obfitego i różnorodnego materjału historycznego, archeologicznego i lingwistycznego, dlaczego to Niemcy mieli ongiś wyższe posłannictwo „bicza Bożego" wobec innych narodów i dlaczego także nowożytni Niemcy mają prawo i obowiązek uszczęśliwienia ludzkości narzuceniem jej swej kultury, ideologji, dyscypliny i panowania.

Rzecz sama nie jest nową dla świata. Wszak jeszcze przed wielką wojną rozbrzmiewały całe Niemcy hasłem:

„Am deutschen Wesen
Muss die Welt genesen",

i rezultatem, choćby pośrednim, tego hasła był wybuch wojny światowej, z której — według założeń niemieckich — miał wykwitnąć twardy, „prawdziwie niemiecki"

---

*) Franz v. Wendrin: Die Entdeckung des Paradieses Braunschweig 1924. Verl. Georg Westermann.

pokój, rozpościerający panowanie, czy kontrolę Niemiec na wszystkich lądach i morzach. Czytaliśmy też z niemałem zdziwieniem takie np. ogłoszenia urodzin w sferach inteligencji niemieckiej, zamieszczane nieraz w poważnej prasie: „Radca X. wraz z małżonką zawiadamiają niniejszem krewnych i znajomych, że Bóg niemiecki obdarzył ich wczoraj silnym, zdrowym chłopakiem“. Takie hasła, pretensje i ogłoszenia, nie do pomyślenia w żadnem innem społeczeństwie, złożyły się z biegiem czasu na niebywały w dziejach imperjalizm zaborczy, który nietylko kreował Spiessbürgerów niemieckich — oczywiście w ich własnej wyobraźni — na przyszłych władców świata, ale mianował także każdy zakątek w Europie i na kuli ziemskiej, którykolwiek dotknęła, choćby przelotnie, stopa niemiecka, „rdzennie i odwiecznie niemiecką ziemią“.

To wszystko jest nam dobrze oddawna znane, jak również i to, że przeważna większość powojennego społeczeństwa niemieckiego przepaja się obecnie więcej, niż kiedykolwiek przedtem, ideą straszliwego odwetu i narzucenia przecież w końcu światu, a zwłaszcza Słowianom, panowania miecza i kultury niemieckiej. Ale mimo to wszystko, trudno byłoby sobie wyobrazić, że „furor teutonicus“ może wznieść się aż do takiej megalomanji i poprostu maligny, jaka przebija z „uczonych“ wywodów p. v. Wendrina! Nie bierzemy ich oczywiście na serjo, ale przytaczamy jedynie dlatego, aby przedstawić naszym czytelnikom, do jakiego stopnia szału doprowadza nawet wykształcone mózgi niemieckie megalomanja narodowa w XX wieku.

Mamy przed sobą sporą książkę, w luksusowem wydaniu. Autor przeprowadza swą tezę, od początku do końca, z nadmiarem erudycji i z prawdziwie niemiecką systematycznością, ale poprostu — wywraca do góry nogami zarówno historję, jak i dzieje biblijne. Dowiadujemy się z licznych jego wywodów, cytat oraz ilustracji zabytków archeologicznych, ni mniej ni więcej, jak że raj biblijny był w istocie siedzibą pragermańską, że dzieje biblijne i dzieje

szeregu wielkich starożytnych ludów — Babilończyków i t. d. — założycieli cywilizacji, są sfałszowaną podstępnie najstarszą historją germańską i że wobec tego jedyną dzisiaj czystą rasą na świecie jest niemiecka, a wszystkie inne narody tylko bastardami, powstałymi z ras niższych, które ongiś wyrwały się z pod władzy germańskiej.

Autor uważa się w tem twierdzeniu już choćby z tego powodu za nieomylnego, że jakieś znaki runiczne, odkryte podobno na skałach w szeregu miejscowości półwyspu Skandynawskiego, a przez autora odcyfrowane, dostarczyły mu klucza do trafnego rozwiązania zagadki najdawniejszych dziejów ludzkości i do postawienia tez „naukowych", wywracających wszystkie dotychczasowe pojęcia historyczne. Na tej podstawie wytworzył sobie autor także specjalny klucz do tłomaczenia źródłosłowów języków starożytnych, zwłaszcza hebrajskiego, które wykazują „ad oculos", że wymienione w pięcioksiągu Mojżesza i w starożytnej mitologji nazwy geograficzne, oraz imiona bogów i bohaterów, są poprostu zniekształconymi wyrazami starogermańskimi. Długi szereg przykładów i lingwistycznych wywodów autora, przytoczonych w książce, służyć ma na udowodnienie tej tezy, a sprawia w czytaniu przedewszystkiem ten skutek, że czytelnik chwyta się za głowę i przeciera oczy, aby się upewnić, czy przypadkiem nie znajduje się w stanie jakiegoś koszmaru!

Dalszym rezultatem badań i dygresji autora jest zdecydowane jego twierdzenie, że pierwszym i jedynym narodem, prawdziwie kulturalnym na świecie, są Germani, a wszystkie późniejsze kultury zbudowane zostały na podkładzie germańskim. Oficjalna zaś dzisiejsza wiedza — tak religijna, jak historyczna — o pochodzeniu ludzkości jest „największem oszustwem świata", popełnionem najpierw przez żydów, a następnie uzupełnionem przez Rzym katolicki.

Niepodobna tu streścić, nawet pobieżnie, całego materjału dowodowego, ilustrowanego wizerunkami znanych

nam dobrze rzeźb babilońskich czy asyryjskich, wykazujących rzekomo „czysto germańskie" pochodzenie *), podanego przez autora dla udowodnienia, że biblijny raj nie leżał wcale w Mezopotamji, ale... w — w Meklenburgji, mianowicie w okolicy między Wartą (biblijny Frat?!), Odrą i Peną (Peene), przyczem autor uznaje nazwę „paradisos" za słowo starogermańskie. Podobnie utożsamia np. biblijne Jaryho z dzisiejszem miasteczkiem Jerichow koło Magdeburga, a Troję — która ma też coś wspólnego z historją raju (jabłko zakazane i jabłko Parysa) — z miastem Tribsee w Meklenburgji!

Bóg-Jehowa był królem panującego ludu Germanów-Cherubów. Dookoła tej rajskiej krainy o wysokiej kulturze mieszkały półdzikie małpoludy, znane z antropologji, jako pierwotna rasa przedhistoryczna, z wykopanych szkieletów, np. w dolinie rzeki Neandra. Mieszkańcy raju germańskiego urządzali na tych małpoludów obławy, czyniąc z pojmanych w ten sposób coś pośredniego między zwierzętami domowemi a niewolnikami.

Ze związków przeciw naturze (sodomja?) bogów rajskich (Germanów) z małpoludami powstały rasy niższe, bastardowe, przedewszystkiem żydzi, następnie narody romańskie, słowiańskie i t. d. Wskazuje na to imię Adam, po hebrajsku Adcham t. j. „rudy", albo „ojciec ludzi" — w przeciwieństwie do bogów-germanów.

Otóż Germani hodowali drzewa owocowe, zwłaszcza jabłonie, z których owoców wyrabiali już w tych prastarych czasach jabłecznik, tak znany dzisiaj w niektórych okolicach północno-zachodniej Europy. Używanie tego napoju wyskokowego zakazane było surowo rasie niewolniczej, aby swem działaniem nie podniecał jej do oporu przeciw panom, których przywilejem była właśnie ta podniecająca „ambrozja". Ale niewolnicy dorwali się w koń-

---

*) Ciekawy jest zwłaszcza komentarz do typowej płaskorzeźby jednego z królów babilońskich, którego rysy przedstawiają rzekomo „czysty typ germański"!

cu do tego jabłecznego napitku — i stąd grzech pierworodny, stąd rola jabłka w biblji i w podaniach innych ludów!

Wszystkie te rewelacyjne odkrycia robi autor na podstawie „interpretacji“ tekstu biblijnego przy pomocy porównań językoznawczych i zestawień ze wzmiankowanymi napisami skalnymi w Skandynawji, oraz z mitologją chaldejską, europejską i indyjską. Utożsamia Ewę z Marją, Matką Bożą, dalej Freyę z Wenerą czy Ateną, Adama zaś z Mojżeszem, Herkulesem i t. d., powołując się przytem na fantastycznie naciągnięte, rzekome podobieństwa ich wizerunków na wykopaliskach, rzeźbach starożytnych i t. p.

Żydzi (a więc także Rzymianie, Grecy i t. d.) byli więc niewolnikami Germanów w ich rajskiem państwie. Węża, deptanego na starych obrazach przez Najśw. Marję Pannę, zestawia autor z dzikiem *), będącym godłem germańskiej bogini Freyi i ściganym przez Herkulesa. Jabłko rajskie, jabłko Parysa, raj i ogród Hesperyd — to niby to samo. Chrystus, względnie znany z Homera kapłan Apollina Chrysos — to synonimy „czarnego Adama“ czyli sanskryckiego Kriszny! Wygnanie z raju, to nic innego, jak uśmierzenie straszliwego buntu hebrajczyków przeciw bogom-germanom, którzy po krwawej bitwie zmusili żydów do ucieczki, wiodącej ich do Włoch, Grecji i Azji. Przywódcami Germanów byli Eurysteus (Chrystus — Pryam), Odysseusz (Jezus), Herkules i t. d.

Ścigając przeciwników, spuścili Germani śluzy w dolinie Odry, zatapiając w ten sposób tysiące hebrajczyków, co pozostało w ich legendzie jako „potop“. Zestawia go autor również z mitologicznem polowaniem na dzika. Ucieczka z Egiptu i wypędzenie z raju, to identyczne wypadki, przekręcone żydowską mistyfikacją, a plagi egipskie, to zarazy przedpotopowe.

---

*) Dzik — Eber — Heber — Hebrej — żyd. Więc pościg dzika przez Herkulesa, to reminiscencja pościgu żydów przez Germanów!

Hebrajczycy osiedlili się następnie dokoła morza Śródziemnego, przeważnie w dawniejszych opuszczonych kolonjach germańskich. Dowódcami ich byli Adam, Noe, Kain, Romulus, Achilles i t. d.

Kultura asyryjsko-egipsko-fenicko-grecko-rzymska, to zdaniem autora tylko marna przeróbka kultury starogermańskiej przez hebrajczyków, podszywających się pod zasługi najstarszych i wyłącznych „Kulturträgerów" świata. Znany po dziś dzień pod mianem żydów szczep hebrajski osiadł w dolinie Chanaan w Palestynie, niszcząc tam prastarą germańską cywilizację (!!). Biblijni Cherubi, wypędzający ognistymi mieczami Adama i Ewę z raju, to poprostu brodaci Germani, uzbrojeni w rozszczepione u dołu bronzowe miecze.

Razem z hebrajczykami wypędzono z raju także półgermańskie szczepy mieszkańców bastardowych. Część hebrajczyków osiadła, po wypędzeniu z raju, w dzisiejszej Polsce, stanowiąc, wraz ze swymi braćmi po rasie, starogrekami, osiadłymi dokoła Krakowa, podkład dzisiejszych Polaków, którym jednak Germani dali prawdziwą kulturę. Autor posuwa się tu aż do twierdzenia, że właściwie wszystkie miasta i wsie w Polsce są tworami germańskimi (Warszawa — Wareshof, Częstochowa — Dänischhofen, t. j. miasto „Danów", czyli Duńczyków). Dodaje, że posiada na to wszystko dowody.

Wszystkie legendy mitologiczne egipsko-grecko-rzymskie oraz walki trojańskie pochodzą, według autora, z tego samego historycznego źródła, co i biblja, czyli z walk Germanów ze zbuntowanymi hebrajczykami. Główna bitwa była nad rzeką Troją na Górnym Śląsku, a więc na południe od rajskiej krainy. Nawet bunt szatana jest reminiscencją tych dziejów. Bogowie greccy i rzymscy, to oczywiście Germani, którym służyli jeńcy czy imigranci hebrajsko-greccy. Jasnowłosi Germanie byli i są dziećmi słońca, w przeciwieństwie do ciemnowłosych, niskoplemiennych hebrajczyków. Według autora wiara w żydowskie pocho-

dzenie Jezusa, którego (w przeciwieństwie do Chrystusa) zalicza do wodzów starogermańskich, zbezczeszczonych i zamęczonych przez buntowników żydowskich, jest największem bluźnierstwem! Apokaliptyczne zaś postacie Cherubów zestawia autor z podobnymi herbami krajowymi i miejskimi Meklenburgji, zajmującej północną połać dawnej rajskiej krainy.

Przed zadawaniem się z „parszywą rasą semicką“ mieli Germani — zdaniem p. v. Wendrina — wiele właściwości, określanych obecnie mianem nadprzyrodzonych, jakgdyby jakieś nadliczbowe zmysły. Byli też wielkoludami w porównaniu z karłowatymi małpoludami hebrajsko-murzyńskimi. Wszak murzyni, to rzekomo bezpośredni potomkowie starych hebrajczyków, importowanych przez Germanów do raju. Pan v. Wendrin opowiada nam tu horrendalne historje, jak to buntownicy hebrajscy, w pierwszej chwili powodzenia nad zaskoczonymi napaścią Germanami, zarzynali ich w bestjalski sposób, co zostało uwiecznione w podaniach o krwawych ofiarach, składanych bogom. Prawdziwym jednak Bogiem jest tylko starogermański, sprawiedliwy, czysty Tor, wyrugowany później przez importowanego z semickiego wschodu, okrutnego Wotana-Odina. Zarzynanie przez Germanów pojmanych w bitwach Rzymian nazywa autor oczywiście tylko „sprawiedliwym odwetem“. Utożsamienie zaś żydów z „narodem wybranym“ jest dziełem „największego fałszerza historji“, Babilończyka Esry, o czem rzekomo świadczyć mają wykopaliska babilońskie, odtwarzające fałszywie zniszczone dokumenty przedbiblijne (!?), których jednak znaczna część ocalała, schowana w synagogach Moskwy, Berna i Bukaresztu.

Autor odmawia hebrajczykom i ich potomkom azjatycko-indyjsko-romańsko-słowiańskim jakichkolwiek zdolności naukowych i konstruktywnych, uważając wszystkie ich wynalazki, pomniki i dzieła sztuki (łącznie z wieżą Babilońską) za późniejsze podszywanie się pod dzieła rąk ger-

mańskich. Wymienione rasy zdolne są, według autora, tylko do fałszerstw, plagjatów i zbrodni wszelkiego rodzaju. Dekalog powstał nie na górze Sinai, ale w czasie ucieczki z raju na górze Zoptenberg na Śląsku!

Autor porównuje więc wszystkie legendy i mitologje pogańskie z biblją, mieszając je w jednolitą i równowartościową z nią całość. Posługuje się przytem studjami bibljoznawczemi chrześcijańskich uczonych, którzy słusznie zestawiają różne analogje między biblją a różnemi pogańskiemi podaniami, jako dowód wspólnego pochodzenia z jednego źródła, mianowicie z dziejów Objawienia w pierwotnej epoce ludzkości, zniekształconego następnie przez pogan wskutek stopniowego zaniku u nich Prawdy i ciągłości Podania i wynikłej stąd nieścisłości i fałszywej interpretacji faktów. Ale autor wykręca to wszystko jeszcze bardziej dla celów swych założeń starogermańskiej prahistorji ludzkości, posługując się tak niesłychanie bujną fantazją i dowolnością tłomaczenia faktów, nazw i wniosków, że czytelnik odnosi wrażenie, iż ma do czynienia z dziełem obłąkanego.

Autor trzyma się wielce oryginalnego sposobu „prostowania" tekstu biblijnego i „oczyszczania" go z rzekomo zalewających go wstawek hebrajskich „fałszerzy", poddając natomiast dla właściwej — według niego — interpretacji, apodyktyczny klucz, zawarty rzekomo w szwedzkich napisach skalnych. Objaśnia nam także, między innemi, że dzieje rajskie — na podstawie płaskorzeźb na znalezionym w okolicach Rzymu starożytnym dzbanie, znanym pod nazwą dzbanu z Tragliatelli, oraz na podstawie wywodów jakiegoś astronoma — sięgają do epoki 60.000 lat wstecz (natomiast szwedzkie napisy skalne, prawdziwie „starogermańskie", na 800.000 lat wstecz!). Dowodzi, że w owej rajskiej epoce panowali Germani nad całym światem śródziemnomorskim, że oni stworzyli kulturę asyryjską, egipską, grecką i t. d., które przejmowali później he-

brajczycy i ich bastardowie, niezdolni do żadnej wyższej twórczości, ani naukowej, ani technicznej.

Z wywodów jego, często zresztą dość mętnych nawet z jego własnego punktu widzenia, wynika, że Ewa — identyczna z Matką Bożą i Heleną trojańską — była porwaną przez zbuntowanych hebrajczyków dziewicą germańską, potrzebną im dla uszlachetnienia własnej rasy i „stworzenia“ w ten sposób ludzi. Porównuje on tę tezę z podaniem rzymskiem o porwaniu Sabinek, oraz indyjskiem o pochodzeniu ludzkości z zapłodnienia bogini Siwy przez małpę! Święto Bożego Narodzenia jest właściwie starem świętem germańskiem, obchodzonem ongiś jako rocznica wypędzenia hebrajczyków z germańskiego raju, po wielomiesięcznych walkach, ukończonych po adwencie, który oznacza okres oblegania Troji starogermańskiej przed odsieczą ze strony bogów-aniołów-germanów pod dowództwem Herkulesa (św. Michała). Jeszcze jednak przez kilkadziesiąt lat potem trwały walki rasowe, przechowane w podaniu ludów germańskich jako „zmierzch bogów“, w ciągu których Germani, walcząc na śmierć i życie z przemocą hebrajczyków i ich bastardów niskorasowych, nieraz byli w okropnych opałach, aż wreszcie odnieśli zwycięstwo.

„Rewelacyjne“ odkrycia p. v. Wendrina przywrócić mają Niemcom wiarę w samych siebie i w ich wyższe posłannictwo po przejrzeniu — przy pomocy „języka skał szwedzkich“ — fałszerstw biblijnych i dalszych fałszerstw katolickich, socjalistycznych, sekciarskich, masońskich i t. d. Wówczas, zdaniem jego, nastąpi nawrót do prawdziwej wiary ojców, do starogermańskich tradycji i do ponownego kultu dla Pisma św., oczyszczonego z obcych naleciałości.

„Biedny Niemcze — woła autor — jakżeż cię oszukano!... Miljony pobożnych serc zadrżą na ową radosną wieść, wierni wszystkich odcieni i warstw posłuchają z nabożeństwem tych słów, zwracam im bowiem wiarę w raj utracony, podstawę Pisma św., a nawet daję więcej, bo

zwracam ten raj i prawdziwą ziemię świętą bez krwawych wypraw krzyżowych“.

„Zbrodnia, popełniona na narodzie niemieckim“, zostanie w ten sposób pomszczona. Autor zamierza wydać wkrótce dzieło, wprowadzające już ostateczne korektury do biblji na podstawie napisów na skałach szwedzkich. Obchodząc wilję Bożego Narodzenia, powinni Niemcy modlić się w sposób następujący:

„Chwała Bogu na wysokościach i pokój na ziemi germańskiej i pomyślność Germanom. Niech będzie światło. Niemcy, Niemcy ponad wszystko na świecie! Człowieku obcy, zdejm obuwie, miejsce bowiem, na którem stoisz, to święta ziemia niemiecka. Kamienie mówią. Zdrowiście wy, Germani całego świata, dzieci Boże, pełni łaski, słowo bowiem stało się znowu ciałem: On, Bóg, jest z wami i bawi między wami. Święte ślady w Bohusläz *) świadczą za wami. Zmartwychwstał i z Danji przyszedł, by sądzić zmarłych i żywych, dzieli po prawicy dobrych, a po lewicy złych. Panie, uwolnij nas od zła niskorasowego, o Sędzio świata!“. Oto nowoczesna modlitwa, godna niemieckiego nacjonalizmu i imperjalizmu. Zawiera w sobie znany dobrze refren „Deutschland über Alles!“ — który tłomaczy wszystko, łącznie z obłędem p. v. Wendrina.

Oszczędzimy ogółowi naszych czytelników dalszych „naukowych wywodów“ autora. Wystarczy nadmienić, że są analogiczne do poprzednich. Kulminują w tezie, że wszystko, co warte jest cośkolwiek na świecie, pochodzi od Niemców, a wszystko inne wymaga sprostowania i uzdrowienia pod wpływem i rządem „prastarej cywilizacji germańskiej“.

Warjat! — powie czytelnik pod pierwszem wrażeniem. Nie, wcale nie warjat, odpowiemy, gdyż tekst książki v. Wendrina niema w sobie wcale cech typowego obłąkania. Jestto tylko specyficzny owoc skrajnego szo-

*) Miejsce napisów skalnych w Szwecji.

winizmu niemieckiego, w którym wyhodował się długi szereg pokoleń, a zwłaszcza dwa lub trzy ostatnie. Jestto niezawodnie dowód obłędu, ale nie wyłącznie autora książki, lecz całego społeczeństwa niemieckiego, a więc obłędu masowego, na który medycyna powinna istotnie ustalić naukową nazwę: Furor teutonicus. Bo to, co p. Wendrin tak osobliwie uzasadnia w teorji, to przecież wyznaje w praktyce (tylko dotąd jeszcze bez owych naleciałości mitologicznych) cały naród niemiecki, za wyjątkiem nielicznych tylko jednostek. A i co do tych różne narzucają się wątpliwości...

Posiew, rzucany przez licznych autorów i działaczy w rodzaju v. Wendrina, wydaje tymczasem plon obfity. Bo jeżeli można mieć wątpliwości co do stanu psychicznego poszczególnego autora, to niepodobna zaprzeczyć, że dziesiątki i setki wybitnych uczonych, publicystów i działaczy niemieckich idą w tym kierunku, a za niemi cały naród niemiecki i jego rządy.

Wszak przy ostatnich wyborach siedem miljonów Niemców — prawie jedna czwarta uprawnionych do głosowania — wypowiedziało się za najskrajniej nacjonalistycznym programem Adolfa Hitlera. A podstawowym dogmatem tego programu jest przekonanie o konieczności przywrócenia Niemcom ich germańskiej czystości rasowej i o wyższości rasy germańskiej nad wszystkiemi innemi.

W Turyngji, jednym z krajów związkowych Rzeszy niemieckiej, mamy już przykład, jak to wyobrażają sobie zwolennicy Hitlera rządy w Niemczech. Minister spraw wewnętrznych, Dr. Frick, zaprowadził w szkołach t. zw. „modlitwy nienawiści", będące niczem innem, jak wtłaczanie w umysły i usta dziecięce propagandy nienawiści do ras niegermańskich i odwetu wojennego nad przeciwnikami Nemiec. Tenże sam minister, wbrew protestowi senatu uniwersyteckiego w Weimarze, utworzył tam katedrę „rasoznawstwa" i powołał na nią słynnego szowinistę D-ra Günthera, zatruwającego obecnie dusze słuchaczy wykła-

dami, których treści możemy się domyślać po przeczytaniu dzieła v. Wendrina!

Nastroje hitlerowców charakteryzuje zresztą szeroko już rozpowszechniona w Niemczech piosenka:

Und wann der Kaiser kommen wird,
Dann schlagen wir zum Krüppel den Wirth *)
Mit den Gewehren tak, tak, tak,
Das schwarze und das gelbe Pack!

To znaczy, że po przewrocie zamierzają dokonać samosądu nad katolikami i żydami. „Deutschland erwache!“— oto ich hasło, wzywające do przebudzenia się Niemiec z „pacyfistycznego letargu“.

Te same hasła rzucają zwolennicy t. zw. „Heimwehr“ (bojówki nacjonalistycznej) w Austrji, coprawda z mniejszem powodzeniem, wobec katolickiego charakteru tego państwa. Natomiast proces, wytoczony niedawno kilku oficerom regularnej armji (Reichswehry) niemieckiej, za zakładanie przez nich w wojsku „jaczejek“, mających przygotowywać zbrojny przewrót w państwie według programu skrajnych szowinistów i odwetowców, odsłonił w przerażający sposób ducha młodego niemieckiego pokolenia, deprawowanego systematycznie jadem nienawiści rasowej i zaborczości.

Zresztą jeszcze z czasów wojny światowej pamiętne są kazania pruskich pastorów, wmawiających w naród niemiecki jego rzekome powołanie do odgrywania roli bicza Bożego na ziemi i nadania światu nowego ustroju. To przekonanie o „wyższości rasowej“ kazało zaślepionym Prusakom wierzyć w konieczność zwycięstwa nad „niskorasowymi“ sąsiadami. A chociaż w tem się zawiedli, to jednak obserwujemy odrodzenie się w pokonanym tak niedawno narodzie tego ducha zarozumiałości i pogardy dla innych — i to w stopniu wyższym, niż przed wojną. Bi-

*) B. kanclerza z ramienia centrum.

smarck powiedział bowiem: „My, Niemcy, boimy się tylko Boga, a pozatem nikogo na świecie!“ — Hitler zaś propaguje przekonanie, że i Boga nie należy się obawiać. Pan v. Wendrin ułatwia mu tę propagandę „naukowym“ dowodem, że Niemcy a Bóg, to jedno i to samo!

Człowiek chwyta się za głowę z przerażenia i wprost trudno mu uwierzyć w istnienie takich absurdów w społeczeństwie o istotnie wysokiej kulturze. Niestety, mamy je przed sobą czarno na białem — w literaturze i w polityce. Wobec dowodów tak absurdalnej hipertrofji zaborczego nacjonalizmu nikną wszelkie objawy przesady patrjotycznej, spotykanej wśród szowinistów innych narodów. Nawet starodawna żydowska pycha „narodu wybranego“ ustępuje na daleki plan wobec tej potwornej megalomanji pruskiej. A pamiętajmy, że ona bynajmniej nie od wczoraj dopiero się datuje, nie dopiero od chwili powstania hasła odwetu po przegranej wojnie. Pamiętam np. karykaturę w monachijskim „Simplicissimusie“, przedstawiającą pruskiego oficera gwardji, z monoklem w oku, pokazującego z dumą żonie, w czasie podróży poślubnej, ruiny rzymskiego forum ze słowami: „Patrz, to wszystko rozbili nasi przodkowie!“.

Ze szczerym smutkiem obserwujemy rozwój tego ducha obłędnej megalomanji nacjonalistycznej w społeczeństwie, które przecież wielce się przyczyniło do kulturalnego dorobku dzisiejszego świata, które wydało długi szereg wielkich poetów, uczonych, filozofów i artystów. Gdzież owe czasy, nie tak znów bardzo dawne, kiedy inteligencja niemiecka przodowała w ruchu wolności narodów?! Obecnie jesteśmy świadkami nawrotu sprusaczonego ducha Niemiec do tradycji Teutonów, Wandalów, raubritterów i Krzyżaków — do owej legendarnej furji teutońskiej, która niejednokrotnie już w historji była synonimem barbarzyńskiego spustoszenia krajów, oddających się spokojnej pracy cywilizacyjnej.

Co gorsze, megalomanja pruska jest niewątpliwie za-

raźliwą. Udziela się częstokroć odłamom innych społeczeństw, które jakąś dziwną siłą atrakcyjną do siebie przyciąga, choćby nawet odłamy te z duszy nienawidziły Niemców. I w polskiem społeczeństwie jest też taki odłam skrajnego szowinizmu, który, nienawidząc Niemców programowo, stara się jednak naśladować w pewnym stopniu metody nacjonalizmu pruskiego. Jak między genjalnością a obłędem, tak również między płomiennym patrjotyzmem a zbudowanym na nienawiści nacjonalizmem bardzo wąska istnieje tylko granica. W szczególności obserwować możemy wśród wszystkich skrajnie nacjonalistycznych kierunków analogiczną tendencję do utożsamiania religji z kultem własnego narodu, a narodu z własną partją.

Dlatego też Kościół katolicki, popierając wszędzie piękne objawy patrjotyzmu, jako pożądanego przywiązania rodzinno-plemiennego i państwowego, potępia bezwzględnie wszelkie objawy nacjonalizmu, sprzecznego z przykazaniami Bożemi, przedewszystkiem więc uczucia nienawiści, pogardy i chęci zagłady, okazywane innym narodom czy państwom. Dlatego również jesteśmy wciąż świadkami — nietylko w Niemczech, ale i gdzieindziej — buntów szowinizmu przeciw dobroczynnemu działaniu zasad Kościoła, dążących do realizacji powszechnego pokoju dla ludów dobrej woli. Zaczynają się zaś te bunty — i zaczynały zawsze — od tendencji „unarodowienia“ religji, pozbawienia jej podstawowego charakteru powszechności, utożsamienia pojęć „katolicki“ i „narodowy“, a kończyły się i kończą zwykle herezją czy apostazją — oderwaniem się od Rzymu „kościołów narodowych“.

To też dzisiejszą skrajną aberację nacjonalizmu niemieckiego przypisać należy w znacznym stopniu wpływom doktryny Lutra, gdyż głoszony przez nią egocentryzm, dogadzający słabostkom ludzkim, stworzył podstawę dla późniejszego rozwoju niemieckiego egocentryzmu narodowego, który nakazuje narodowi traktować wszelkie zagadnienia z punktu widzenia egoistycznie ujętego własnego inte-

resu materjalnego. W takich warunkach nie może dziwić, że w czasie wojny światowej właśnie pruscy pastorowie dopuszczali się skrajnego nadużywania nakazów wiary chrześcijańskiej, szerząc nienawiść dla przeciwników, a boski niemal kult dla cesarza i potęgi Niemiec. Podobne, choć w mniejszych rozmiarach, nadużywanie religji dla celów politycznych obserwujemy i wśród innych narodów, gdzie materjalne interesy partyjno - polityczne wprzęgają w swą służbę ambony i konfesjonały, aby tym sposobem zyskać wpływ na masy. Nigdzie jednak ten paroksyzm nacjonalistyczno-religijny nie doszedł do rozmiarów, jakie ujawniają się w „naukowych rewelacjach“ p. v. Wendrina i jego hitlerowskich współwyznawców.

„Rewelacje“ te nie nadają się oczywiście do jakiejkolwiek polemiki. Wyklucza ją zresztą zgóry sam autor, przyznając tylko potomkom czystej krwi germańskiej prawo do zabierania głosu w dyskusji o pochodzeniu ludzkości i rajoznawstwie. Zdaniem jego bowiem, jak wspomnieliśmy, wszyscy ludzie, należący do ras „niższych“ — czyli niegermańskich — podlegają, świadomie lub nieświadomie, wielkiemu fałszerstwu, jakiego dokonali żydzi w pierwszych dokumentach dziejowych, przechowując jednak resztki prawdy historycznej w tajnych skrytkach pewnych bóżnic. Zaprzeczenie nawet ustalonych już definitywnie przez naukę, bezspornych faktów historycznych, wyprowadzanie wszystkich starożytnych „kulturträgerów“ z pnia germańskiego, piętnowanie wszystkich niegermańskich narodów jako mieszańców murzyńsko-żydowskich, utożsamianie utraty raju ze zdobyciem Troji i z potopem, Ewy z Matką Boską i Heleną trojańską, Cherubinów z Germanami, Adama z Mojżeszem, horrendalne zbezczeszczenie osoby i roli Chrystusa Pana, przypisywanie znanym z dzikiego barbarzyństwa starym Germanom jakiegoś niebywałego poziomu kulturalnego i autorstwa wszystkich starożytnych dzieł sztuki i pomników archeologicznych, stworzenie specjalnie nakręconej, fantastycznej lingwistyki dla in-

terpretacji starożytnych tekstów hebrajskich czy babilońskich na sposób „germański", wreszcie umiejscowienie raju na wschodzie dzisiejszego państwa niemieckiego (zamieszkałym n. b. tysiąc lat temu jeszcze przez Słowian!) — wszystko to zbyt przerażające objawy zaborczego obłędu, by zasługiwały na coś więcej, jak na krótkie ich streszczenie dla informacji osłupiałego czytelnika!

Naukowe wykazywanie pewnych wspólnych źródeł pochodzenia podania biblijnego i różnych mitologji pogańskich jest oczywiście zawsze pożądanem, jako wzmocnienie dowodów prawdy historycznej, zawartej w Piśmie św., o pierwszych dziejach ludzkości i objawionych wówczas przykazaniach Bożych. To samo dotyczy harmonizowania tej prawdy z wynikami badań nauk ścisłych, które, jak wiadomo, nigdzie jeszcze prawdzie tej nie zaprzeczyły, o ile uczciwie i objektywnie zostały potraktowane i przedstawione.

Ale to wszystko, co na ten temat znajdujemy w książce p. v. Wendrina, to tylko tendencyjne, absurdalne przekręcenie wyników różnych badań naukowych, niebywałe dotąd nadużycie ich do rzekomego uzasadnienia potwornych wniosków autora o boskiem pochodzeniu rasy germańskiej, a w pierwszym rzędzie oczywiście samych Niemców. Ostatni doprawdy czas, aby wobec takich absurdów powstała w społeczeństwie niemieckiem, dotychczas tak zdrowem fizycznie, aczkolwiek niestety silnie już zarażonem skreślonym powyżej obłędem moralnym, odpowiednia reakcja, zdolna do wykorzenienia owych fantazji o wyższości rasowej Germanów, w imię zdrowego rozsądku, pokoju światowego i dobrej sławy samych Niemców. Bo nawet z czysto etnograficznego punktu widzenia, taki przerost megalomanji, jaki dziś w Niemczech istnieje nawet w „naukowej" literaturze, jest bezsprzecznym objawem pewnej degeneracji!

Ale kierunek, którego wyrazem jest książka p. v. Wendrina, wywołuje pozatem rezultaty, wprost przeciwne

ultranacjonalistycznym zamierzeniom jego zwolenników. Wprawdzie bowiem Wendrin i jego współwyznawcy głoszą „lekceważenie sobie wybuchów wściekłości wszechświatowego żydostwa“ wobec ich „naukowych rewelacji“, ale nikt nie mógł oddać większej przysługi owemu żydostwu, jak właśnie „rasoznawcy“ z pod znaku skrajnego szowinizmu niemieckiego. Doprowadziwszy bowiem antysemityzm dosłownie ad absurdum, podważyli oni temsamem wszelkie rzeczowe i poważne argumenty, mogące ująć kwestję żydowską z punktu widzenia prawdziwie naukowego, oraz narodowego i religijnego i w ten sposób dążyć do skutecznego rozwiązania tych wszystkich niepokojących zagadnień, które wywołała istotnie pod niejednym względem rola „międzynarodowego żydostwa“ w dziejach współczesnych.

Zresztą antysemityzm p. v. Wendrina jest — jak ze wszystkich jego wywodów wynika — niczem innem, jak poprostu zazdrością konkurencyjną o miano „narodu wybranego“, które stara się wydrzeć Izraelitom, choć wybranym narodem dawno już być przestali. Fałszem tym, nazbyt oczywistym i naiwnym, chce sztucznie wywyższyć naród niemiecki.

Objaw ten, w którym elukubracja p. Wendrina stanowi tylko jeden z wielu jaskrawych szczegółów, jest wielce znamiennym. Możemy nań odpowiedzieć najlepiej niemieckiem przysłowiem:

Hochmut kommt vor dem Fall!

Adam Romer.

KRONIKA.

I.

„ISTOTA ZŁA".

Podczas ostatniego zebrania rady administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Brukseli jeden z delegatów robotniczych szwajcarskich wystąpił z propozycją zbadania przyczyny powszechnego bezrobocia, gorąco podtrzymaną oczywiście przez ogół delegatów robotniczych. Charakterystycznym zaś motywem tej propozycji jest przypisanie przyczyny bezrobocia, a więc i przesilenia gospodarczego, fatalnemu podziałowi kapitałów na świecie. Nędza robotnicza jest więc, zdaniem wnioskodawcy, naturalnym skutkiem braku kapitałów w znacznej części świata, a bynajmniej nie kapitalizmu, jak to tłumaczą obałamuconym masom tak chętnie adepci Marxa.

Kapitał więc w oczach uświadomionych robotników przestaje być naroślą pasorzytniczą, wrzodem śmiertelnym, jadowitym grzybem, instrumentem krwiożerczej burżuazji, żyjącym kosztem żywych tkanek organizmu produkcji. Uznaje się go jako siłę twórczą, jako niezbędny czynnik aparatu gospodarczego. Praca robotnicza przestaje być uważana jako jedyne źródło wszelkiej wartości gospodarczej, obkładane „haraczem" na rzecz kapitału. Okazuje się on właśnie nieodzownym ośrodkiem odżywczym organizmu społecznego. Brak kapitału, całkowity lub częściowy, powoduje przesilenia i zamieranie tego organizmu.

Nie można dość silnie podkreślić wagi tego, może spóźnionego, przyznania się ze strony zsyndykalizowanych

robotników do długiego i upartego błędu. Oby rzeczywiście było to początkiem nawrotu do prawdziwego objektywizmu gospodarczego z bezdroży doktrynerstwa i emocjonalizmu i demagogji walki klas!

Niemniej stwierdzić należy ogrom naiwności i niezrozumienia istoty zagadnienia, zawarty w twierdzeniu wspomnianego delegata robotniczego. Mówiąc o konieczności racjonalnej repartycji kapitałów, może być mowa oczywiście tylko o wartościach ruchomych, a nie o nieruchomych, reprezentowanych przez fabryki, składy, zakłady i t. p. Nie ulega wątpliwości, że właściwy kapitał ruchomy, w postaci pieniądza, banknotów, kredytów bankowych i t. p., rozrzucony jest po świecie, a w szczególności w Europie, w sposób niesłychanie nierówny. Tu pieniądz istnieje w nadmiarze i jest ogromnie tani, tam jest rzadki, niemal nieistniejący i tak szalenie drogi, że zmuszeni do pożyczania go dłużnicy zgóry są skazani na bankructwo.

Czy mamy więc w tych wypadkach do czynienia z ślepym losem, ze złośliwością, z czynnikami niewiadomymi, czy też raczej z nieubłaganemi prawami natury, reagującemi samoczynnie na korzyść tych, którzy je uznają, a na niekorzyść ich gwałcicieli i ignorantów? Czy można więc liczyć na możliwość ukrócenia tej „anarchji kapitalistycznej“ wspólnym aktem woli zainteresowanych w kierunku zapanowania „sprawiedliwości“ i powszechnego dobrobytu? Tylko doktrynerzy niepoprawni mogą nie znaleźć na te pytania właściwej odpowiedzi.

Zdaniem „Temps“ wszystkie bolesne doświadczenia powojenne narodów europejskich przekonać je musiały o istnieniu bezwzględnie obowiązujących kanonów gospodarczych, których człowiekowi nie wolno łamać bezkarnie, tak samo, jak nie wolno ustawą ludzką zmienić prawa Bożego. Wszystkie współczesne klęski są tylko nieuniknionym rezultatem nieprzestrzegania tych kanonów. Ruch

kapitałów regulowany jest najściślej dwiema kardynalnemi zasadami: bezpieczeństwem politycznem, czyli gwarancją stałości warunków lokaty przed niespodziankami polityki zewnętrznej czy wewnętrznej, oraz względem na ustawodawstwo gospodarcze, czyli gwarancją opłacalności lokaty przed wszelkimi wybrykami demokracji parlamentarnej, tak chętnie, jak wiadomo, odstraszającej korzystne emigracje kapitałów do danego kraju łamaniem najelementarniejszych praw przyrody, zabójczemi dla produkcji i kapitalizazji ustawami podatkowemi, ubezpieczeniowemi, hipotecznemi, spadkowemi i t. d. Dopiero w warunkach bezpieczeństwa politycznego i prawnego kapitały poszukiwać mogą najkorzystniejszej lokaty, najlepszych zysków. We współczesnej Europie niewątpliwie zagadnienie bezpieczeństwa wysuwa się na pierwszy plan. Kapitały zapewne źle są rozdzielone w Europie. Ale dlaczego? Dlatego, jak stwierdza „Temps“, że niepokój socjalny, polityczny i międzynarodowy, z trudem tylko opanowywany przez siły porządku i zdrowego rozsądku, przeszkadza swobodnej migracji kapitału.

„Trzy zarazy wszędzie i ciągle odstraszają kapitały, wyganiają je precz, względnie obezwładniają je: socjalizm, walki partyjne (nieuniknione w demokracji parlamentarnej) i groźby wojenne“.

Socjalizm przedewszystkiem, w postaci komunizmu, stał się zmorą, ciążącą groźnie i złowrogo na krajach Europy Wschodniej, które, od Bałtyku do Morza Czarnego, stoją na żmudnej, wyczerpującej siły straży Europy przed barbarzyństwem Sowietów. W środku zaś Europy, w Niemczech, w Austrji, w Czechosłowacji, niemniej jak w Polsce, wypacza socjalizm ogromnie normalne działanie aparatu gospodarczego, nakładając na warsztaty produkcji ciężary zabójcze, nie pozostające w żadnym stosunku do możliwości zysków. Na zachodzie, w Wielkiej Brytanji, nie ogranicza się on do narzucania absurdalnego ustawodawstwa o bezrobociu, niezmiernie podrażającego koszty

utrzymania, paraliżującego wywóz i stwarzającego przez to błędne koło, lecz również tak zabójczo opodatkowuje dochody i spadki, że kapitał zamiera i ucieka w panicznym strachu do krajów pewniejszych. Stała słabość kursu funta szterlinga od 18 miesięcy tę jedną tylko ma wyłączną przyczynę.

Socjalizm, „postęp demokratyczny“, groźby wywrotu marksowskiego, są niewątpliwie głównemi przyczynami tego „fatalnego podziału kapitałów“, na który skarży się naiwnie robotnik zsyndykalizowany. Są jednak i inne. Trudności walutowe i obiegowe Hiszpanji i Polski niewątpliwie pozostają w związku przyczynowym z przeciągającą się w tych krajach, przynajmniej dla pojęć zagranicy, walką ustrojową, wytwarzającą uczucie niepewności jutra i powodującą trudność zorjentowania się we właściwym układzie sił i w możnościach realizacji zamierzonych programów. Systematyczne plądrowania, których widownią były ostatnio Berlin i szereg miast nadreńskich, parady bojówek nad Renem i Dunajem, wychwalanie polityki armat i karabinów maszynowych nad Tybrem, wszystko to nie sprzyja ochoczej migracji kapitałów. Nieporządek finansowy, na który się żalimy, jest tylko wiernem odbiciem nieporządku moralnego i politycznego, w którym się znalazła współczesna Europa.

Tajemnica reorganizacji gospodarczej Europy leży zdaniem „Temps“ głównie w zdolności narodów do opamiętania się. Tak długo bowiem kapitaliści i fachowcy ekonomiczni nie zechcą finansować tej reorganizacji, dopóki większość państw nie zerwie radykalnie ze stosowaniem do życia gospodarczego systemu przemocy fizycznej i utopji, by nie narażać się na los skorupki orzecha na wzburzonem morzu. Z chwilą natomiast, gdy kapitały, lokując się w poszczególnych krajach, będą miały poczucie bezpieczeństwa, przyciąganie ich okaże się zadaniem bardzo łatwem. Wów-

czas już Międzynarodowe Biuro Pracy nietylko nie będzie się poczuwało do konieczności interwencji, ale może przeciwnie, przekona się, że zbyt skwapliwa piecza nad rozbudową i „udoskonaleniem“ ustawodawstwa społecznego stała się jedną z głównych przyczyn dezorganizacji życia gospodarczego, doprowadzając doktrynerstwem i demagogją „ochronę pracy“ do roli źródła bezrobocia i nędzy tych samych mas robotniczych, które miała podnieść do poziomu klasy uprzywilejowanej, mającej odpowiedzieć wyzyskiem pracodawców na dawny wyzysk pracobiorców.

W każdym razie konstatujemy i na tym przykładzie, jak walą się stopniowo w gruzy utopje i pojęcia, budowane niedawno jeszcze z takim rozmachem przez ślepy, bezkrytyczny radykalizm „zwycięskiej demokracji“.

II.

FIASKO SOCJALIZMU W ANGLJI.

Radość zapanowała tak niedawno jeszcze w świecie socjalistycznym na wiadomość o objęciu steru państwa przez rząd socjalistyczny w Anglji. Obietnice dosłownie złotych gór utorowały mu drogę do władzy. Cudowne lekarstwa miał w zanadrzu na wszystkie bolączki życia angielskiego. Najtrudniejsze zagadnienia państwowe w świetle programu czerwonego wydały się zabawką. Miljon bezrobotnych miało otrzymać pracę, gigantyczne roboty publiczne miały zapewnić krajowi niebywały rozkwit, a pokój i rozbrojenie powszechne i współpraca międzynarodowa miały zapewnić, pod przewodem pp. Mac Donalda i Hendersona, Europie i światu okres zgody, pomyślności i pewności jutra. Żydzi,

Egipcjanie, Arabowie i Hindusi mieli z hojnej ręki Albionu uzyskać wolność, ojczyznę, z wdzięczności tylko węzłem wolnych z wolnymi związaną z Imperjum i jego niezależnemi częściami składowemi. Wolny handel miał zatryumfować wszędzie nad murami celnymi i usymbolizować złotą wolność w gospodarce światowej. Bezpłatna szkoła do 15 roku życia i ubezpieczenia społeczne, gwarantujące każdemu chleb powszedni i dach nad głową od kolebki do grobu, miały ukoronować dzieło panowania socjalizmu. Rzecz jasna, że brak mieszkań miał przestać istnieć niemal za skinieniem różdżki czarodziejskiej. Etatyzacja resp. uspołecznienie warsztatów produkcji miały kres położyć wyzyskowi i nędzy!!!?

Tem smutniejsze było przebudzenie. Niewzruszalne kanony gospodarcze i odwieczne prawa życia okazały się silniejsze od mrzonek doktryny Marxa i haseł wywrotu społecznego, wywrotu coprawda przeprowadzonego przez gentlemenów (jakżeż Anglik mógłby nim nie być!) w rękawiczkach, grzecznie, układnie, z zachowaniem zewnętrznych form tradycyjnych, w ramach uświęconej konstytucji, słowem, w najlepszem tego słowa znaczeniu... demokratycznie.

Niemniej już same próby etatyzacji i gwałcenia tak ogromnej machiny gospodarczej, jaką jest świat wytwórczy W. Brytanji, oparty do tego stopnia na inicjatywie prywatnej, że przeciętny Anglik nie może sobie wyobrażać celowości przedsiębiorstw państwowych czy komunalnych, chociażby najbardziej użyteczności publicznej służących, jak koleje, telefony, tramwaje, szkoły i t. p. — wywołały najostrzejszą reakcję i jak najfatalniejsze skutki. Sukces ubezpieczeń społecznych zaczął pochłaniać, bez żadnego objawu poprawy sytuacji na lepsze, tak olbrzymie sumy budżetowe, że rząd musiał się uciekać do nakładania coraz to nowych podatków, naruszających już samą substancję majątkową w sposób groźny dla siły podatkowej ludności. Równocześnie wydajność pracy obniżała się katastrofalnie

wobec zupełnej demoralizacji klasy robotniczej, perspektywami wygodnego życia z pieniędzy publicznych, kosztem „burżujów“, w warunkach „dolce far niente“. Jednem słowem, cios po ciosie spotykał dotychczas wszystkie prawie usiłowania rządu labourzystów realizacji programu, którym oczarowali wyborców. Konferencja rozbrojeniowa się nie udała, oznaczając jedynie kapitulację dotychczasowej władczyni mórz przed ambicjami Stanów Zjednoczonych, oraz powodując zaostrzenie, groźne dla pokoju Europy, antagonizmu francusko-włoskiego. Sprawy Egiptu i Palestyny zakończyły się na razie fiaskiem. Bezrobocie wzrosło o miljon kilkaset tysięcy głów, bez żadnej nadziei poprawy. Strajk węglowy grozi utratą rynków na rzecz coraz trudniejszej do zwalczania konkurencji niemieckiej i polskiej. Kapitały uciekać zaczynają do „krajów pewniejszych“ przed wzrastającym uciskiem fiskalnym i ciężarami społecznymi, podważającymi dochodowość warsztatów pracy. Sam kurs waluty zaczyna być zagrożony. Świat rolniczy zaalarmowany został projektem „reformy rolnej“, który przewidywał wykupienie dużych obszarów przez rząd dla urządzania tam olbrzymim kosztem, pod zarządem państwa, folwarków dla zatrudniania tysięcy bezrobotnych!!!

Co gorzej jednak, ostatnią — zdawałoby się — nadzieja na wzmocnienie chwiejącej się spoistości Imperjum zostaje przez rząd zaprzepaszczona z przyczyn czysto doktrynerskich. Konferencja Imperjalna, złożona z premierów W. Brytanji i dominjów zamorskich oraz przedstawicieli Indji, której ostatnie obrady upływały raczej pod znakiem sankcjonowania pełnej niezawisłości tych państw, połączonych jedynie unją personalną, wysunęła w tym roku właśnie żądanie ze strony dominjów wzmocnienia spoistości Imperjum przez oparcie go o współpracę gospodarczą. Teorja socjalistyczna uniemożliwiła jednak rządowi korzystanie w pełni z tej oferty i uprzywilejowania celnego importu z dominjów wzamian za analogiczne przywileje na

ich rynkach dla wyrobów brytyjskich. Znane nam aż nazbyt dobrze, a zabójcze dla gospodarki hasło „taniego chleba“ przeszkodziło powodzeniu konferencji, zapewne wielce niekorzystnemu dla producentów kontynentalnych, ale zbawiennemu dla Imperjum. Drobne rezultaty w rodzaju arbitrażu imperjalnego, wzmocnienia wspólnej bazy morskiej w Singapore i t. d., są stosunkowo bez większego znaczenia. Natomiast sprzeciw dominjów wobec prawa veto Korony bardziej jeszcze osłabił autorytet macierzy. Nic dziwnego, że wobec takiego rezultatu nie przeprowadzono uzgodnienia polityki zagranicznej Imperjum, za wyjątkiem problematu rozbrojenia. Dominja nadal nie biorą udziału w sankcjach Locarneńskich. Natomiast zgodne stanowisko Imperjum w sprawach rozbrojenia sprzyja niewątpliwie raczej tezie włosko-niemieckiej o uwarunkowaniu bezpieczeństwa rozbrojeniem i o konieczności równouprawnienia w tej dziedzinie zwycięsców i zwyciężonych, pomimo demonstracji przyjaźni dla Francji i sympatji dla jej obaw. Jakkolwiekbądź, zakończenie konferencji Imperjalnej nie odpowiada ani pokładanym w niej nadziejom, ani elementarnym potrzebom Imperjum. Dała ona jedynie konserwatystom do ręki znakomite hasło wyborcze, jednocząc z powrotem osłabione kampanją „imperjalną“ lorda Beaverbrooka ich szeregi, zapewniając im bezwątpienia powodzenie pod znakiem ratowania spoistości Imperjum.

Jeżeli w dodatku nie powiedzie się „konferencja okrągłego stołu“ czyli ostatnia próba ugody z buntującemi się Indjami, to rząd labourzystów wypełni czarę zawodów narodu angielskiego i nie będzie się mógł utrzymać na powierzchni. Wogóle tylko niechęć liberałów do ponownych rządów konserwatywnych przedłuża jeszcze władzę labourzystów, z największą szkodą dla życia politycznego i gospodarczego W. Brytanji.

Cały świat powinien bacznie śledzić niepowodzenia tego rządu, któremu najlepszej woli i talentów zapewne nie brakuje, który jednak uzależnił swój program i światopo-

gląd zanadto od doktryny Marxa, bankrutującej już na całym świecie po obróceniu w gruzy potężnego ongiś mocarstwa carów. Czas najwyższy, by wszystkie narody, jęczące pod okrutnym jarzmem kryzysu gospodarczego, zmiotły z powierzchni swego życia wszystkie miazmaty i nowotwory złośliwe, pochodzące z czerwonej zarazy, która jest właśnie główną przyczyną wytrącenia świata z równowagi i załamania się (oby przejściowego!) jego organizmu gospodarczego.